

FREKWENCJA 350

TOM 0

RYSY NA TĘCZY



Aleksandra Fila

Aleksandra Fila

FREKWENCJA 350

Tom 0

RYSY NA TĘCZY

Space
BOOKS

*Nie było jej na żadnej mapie, choć według starych legend świeciła
najjaśniej. Instynktownie wyczuwali jej istnienie. Niestrudzeni,
choć targani lękiem, parli przez morza czasu i obłoki galaktyk
do tej wyśnionej gwiazdy, której starożytne imię brzmiało „Wolność”.*

Im bliżej byli, tym mocniej wabiła swym potężnym czarem.

*Po tylekroć upokorzeni i odarci ze złudzeń składali swe strzaskane
serca i ruszali raz jeszcze, przekonując się wciąż od nowa,
że najzacieklejszym wrogiem jest ich własne zwątpienie.*

ROZDZIAŁ 1

ZASIEW CHAOSU

PRZESTROGA

Eskapada zaczęła się błogo. Opalizujące strzępki porannej mgły mknęły szybko w niebo, wróżąc ładną pogodę. Ten dzień intrygował zapachem – wonna nuta rozlewisk była dziś ledwie uchwytna i trudna do nazwania, lecz zwiastowała nadejście jakiejś zmiany. *Oby na lepsze... ale jakaż by mogła być?!*

Trageri lubił przebywać w towarzystwie koordynatora Folmatho, choć ostatnio rzadko miewał ku temu okazję. Z radością przyjął zaproszenie na ten wspólny wypad, choć podejrzewał, że zwierzchnikowi chodzi o coś więcej niż upajanie się krajobrazem. Sunął obok kompana tuż pod ażurowymi dziś chmurami, poddając się powiewom łagodnego wiatru. Mijali teraz krągłe, kalcytowe budowle w dole, które nie różniły się kształtem. Zamieszkujące je gromady młodzieży nadawały za to każdej z nich jakiś własny charakter. Te kryształowe kule w tonacjach cyjanu zacieśniały spiralę wokół położonego centralnie, majestatycznego stożka, w którym wrzało życie. Trageriego rozbawiło wspomnienie, że rodzime stożki, fundamenty uldryjskiej

demokracji, otoczone zwykle chmurami ruchliwych mieszkańców, kojarzyły się innym cywilizacjom z owadziemi kopcami... Budowle w dole ustępowały z wolna różnobarwnym łąkom, które kiwały rozłogami bujnych, pylących już traw. Zamaszyście i chaotycznie... Trageri poczuł ukłucie lęku. *Niby wciąż sielanka, ale coś jest nie tak.* Miał wrażenie, że drgania traw robią się dziwnie nerwowe.

– Chciałeś spotkania przed moim wylotem do tajemniczego Ślepego Ramienia? – zagadnął koordynatora.

– Owszem. – Folmatho zbliżył się nieco. – Przed wizytą na kłopotliwym trzecim globie systemu Mahabor.

– Kłopotliwym, bo zaginął tam Cothley? – podchwycił natychmiast Trageri.

– Nie wolno ci tak mówić! – odparował z miejsca Folmatho. – Straciliśmy kontakt, tyle wiemy!

Racja, nie wolno mu było tak mówić, o czym przekonał się podczas ostatniego Zgromadzenia. Skrytykowano go za defetyzm, lecz pomimo żywiołowego sporu to załodze jego statku powierzono tę misję na rubieży Galaktyki. Za jej główny cel uznano eksplorację niezbadanego sektora Kosmosu, szczególnie tej nietypowej planety – wybranej wcześniej z niejasnego do dziś powodu przez idola tłumów, Cothleya. Odnalezienie koryfu Cothleya stało się teraz dyskretnym celem misji. Nikt jednak nie chciał jawnie uznać, że mogło go spotkać coś złego...

Pogoda jednak się psuła. Chmury zbijały się w bure kłęby, słoneczne pasma zanikały, wiatr rozpędzał się do porywów. Widoczne w dole krzewy zaczęły dygotać jak w transie, a z sadzawek co i raz podrywały się grubokropliste wiry. Trageri spojrzał znacząco na Folmatho, ale ten, nieporuszony, brnął przed siebie.

– Chcę ci przekazać kilka uwag Cothleya o tej planecie – koordynator ciągnął dalej. – Choć jego raporty stamtąd rozumiem słabo – przyznał. – Podobno odnalazł źródła wysokich frekwencji, ale ubolewał nad sztywnością myślenia dorosłych osobników tamtejszej rasy naczelnej. Pokolenie, na które trafił, jest strauumatyzowane po szybkim przebiegowaniu planety – zawiesił głos Folmatho – które

miało miejsce niedługo przed jego wizytą. Ale Cothley nie to ma na myśli. Powołuje się na pomiar wibracji i, z pewnym patosem, donosi: „Głównie młodzież potrafi tu marzyć, myśleć odważnie, przekraczać granice uzgodnionej rzeczywistości... Póki nie wpadnie w drenujące rutyny”. Cały Cothley! – Folmatho nie zdołał ukryć nostalgii. – Na Boga, on chyba nie nawiązał kontaktu z młodzieżą?!

– Dlaczego byłoby to takie naganne? – szczerze zdziwił się Trageri. – Wibracja osobnicza jest lepszym miernikiem otwartości niż wiek. – Pamiętał, że jego wiek zamykał mu często drogę do poważniejszych misji.

– Naganne z powodu niestabilności energii młodocianych osobników! – koordynator użył dobrze znanego argumentu. – I choć według odczytów Cothleya na tym małym, kapryśnym globie młodzież stanowi teraz siłę prężną intelektem i bogatą w inwencję – Folmatho przywołał odczyt, obracając oczy wokół kilku osi – jest bez wątpienia chwiejna emocjonalnie. – Przerwał i nabrał światła. – To niedopieczzone dzieci twardego pokolenia, które walczyło o tereny regeneracji i wydzierało morzom lądy! Zgodnie z duchem czasu mahaborska młodzież chce uchodzić za dojrzałą, światłą i mocną, ale jest to zwykłą pozą!

Trageri nie skomentował wywodu koordynatora, choć nie podzielał tak silnych obaw. Jednocześnie nie rozumiał uporu, z jakim kontynuuje on dzisiejszy, coraz mniej przyjemny rajd. Wokół było już nie tylko ponuro, ale zaczynało wiać grozą. Chmury zdusiły resztki słonecznych smug, wiatr łamał z chrzęstem gałęzie daktylowców, a wątle liwy wrywał z gleby bez litości. Z sadzawek dobywał się złowrogi bulgot.

– Co się dzieje? – Trageri, przytłoczony nagłym smutkiem, zlustrował koordynatora. – Raz tylko taka aura szarpała mi ciało na strzępy... – Przerwał mu wizg spłoszonego sursuna.

– Nawet zwierzęta nie doszły jeszcze do siebie – odrzekł Folmatho, brnąc naprzód mimo rosnącego zamętu.

Podążał teraz wzdłuż samotnego pasma skał ku zatoce, która połyskiwała fioletem.

Jak to nie doszły jeszcze do siebie?, pomyślał Tragueri, starając się dotrzymać pola kompanowi. *Czyżby wcześniej było tu jeszcze gorzej?*

Wtedy pojawił, że pogoda pogarsza się w miarę zbliżania się do jakiegoś epicentrum. Ale już tutaj panowała prawdziwie ohydna aura! *Na co tak zareagowała natura?*

– Czy tu ktoś niedawno... umarł? – zapytał w końcu wprost Tragueri, zmagając się z nieodpartym odczuciem.

– Nie dalej jak wczoraj – potwierdził Folmatho.

I chwycił się występu niemal pionowej grani, uznając najwyraźniej, że są wystarczająco blisko celu. Tragueri dopadł natychmiast sąsiedniej półki skalnej.

– Ci desperaci zawsze zaszyją się w mało dostępnym miejscu. – Koordynator skierował wzrok w dół, ku tłukącym o głązy falom morskiej kipieli. – Ciało wydobyto wczoraj.

Między skałami bieleł się skrawek plaży. Pokrywała go skłębiona warstwa roślin. Dało się w niej wyróżnić kilka ubłoconych, potężnych pni. Strzaskane gałęzie przykrywała kwietna masa w barwie granatu, żółci i zieleni.

– Wczoraj zwały się tu trzy stare kwiatodrzewy – skomentował widok Folmatho. – Bolesne piętno zgonu – dodał sugestywnym tonem, po czym poderwał się i zawisł nad skałami. Po chwili podążył ku ładowi.

Tragueri posłusznie zsunął się w ślad za nim wzdłuż grani do poziomego gruntu. Rozejrzał się, oceniając rozmiary spustoszenia. Wichura wciąż szalała, ale tolerował ją łatwiej, wiedząc, że się uspokaja.

Przyroda szybko się odrodzi, pomyślał przekonany, że to nie ruina terenu stanowi troskę koordynatora. *Nie chodzi też o osobę zmarłego. Folmatho chciał mnie chyba skonfrontować z samym faktem śmierci!*

– Czyżby śmierć była u nas bardziej powszechna, niż podaje się do wiadomości? – Tragueri zdecydował się zapytać wprost.

– Skądże znowu! – Folmatho zaprzeczył stanowczo. – To naprawdę rzadkość.

– Ale zdarzyła się akurat przed moim odlotem. – Tragueri podejrzewał, że nikt z jego znajomych nie znalazł się nawet w sąsiedztwie

takiego zjawiska. – Powiedz, czy tym umierającym nie można zawczasu pomóc?

– Można, ale oni tego nie chcą. Nikogo nie uszczęśliwisz na siłę.

– Wierzyć się nie chce, że ktoś marzy o opuszczeniu tego świata. – Tragueri nie ukrywał poruszenia. – Jak myślisz, czemu?

– Nie wszyscy mają ochotę drążyć w sobie na głębokościach archeologicznych. – Folmatho omiótł kompana skoncentrowanym spojrzeniem. – To przecież bywa trudne, nie pamiętasz już, koryferze?

– Pamiętam – odrzekł Tragueri, nie do końca przekonany. – Zadbaleś więc, bym przed odlotem doświadczył energetyki śmierci... – Rozciągnął się na sfilcowanym mchu. – Bo tam jest powszechna?

– Tak. – Folmatho złożył błony lotne. – I żebyś przypomniał sobie stany niepewności, bo pewnie przyjdzie ci się z nimi mierzyć. – Opadł na poduchę mchu śladem Tragueriego. – No i żebyś dotknął nietypowo silnych emocji. Według Cothleya mahaborskie afekty mogą powalić nawet nas – przestrzegł z powagą. – Jak te kwiatodrzewy, które zaraz stąd uprzątą – dodał już żartem i wskazał automaty o pszczelim kształcie, które zbliżały się od strony łądu.

NA BIWAK!

Wiosenne szaleństwo wdzierало się wszędzie. Rozbudzony las wabił szczebiotem ptaków i zapachem mrowisk, kwiaty w parkach eksplodowały barwami, a tłumy przechodniów przelewały się pasami komunikacji na falach ożywienia. Holoekrany wystaw odnowiły propozycje, z ukrytych głośników płynęła zmysłowa muzyka, i cóż to? Pokaz tańca na platformie robotów porządkowych! Pośród ludzi tańczyły dwa testowane androidy, a grupka widzów zataczała się ze śmiechu.

O rany, znowu?! Katarzyna poczuła nagle, że przyspiesza jej serce i cierpnie skóra. Pośpiesznie wzięła oddech i rozejrzała się trwożliwie wokół, ale nic szczególnego nie rzuciło jej się w oczy. Poza tym, że zrobiło się w nich różowo. A w uszach dzwoniło. Czy tak zaczyna się wylew? Ale w moim wieku?!

Postała chwilę, aż ustąpił lęk. Przechodnie zachowywali się normalnie. W przeciwieństwie do niej.

Bezsensowna nadwrażliwość!, skarciła samą siebie. *Pierwsza hipochondryczka w Trójoazy!*

Ruszyła szybko promenadą wzdłuż rzeki, przyglądając się grupkom dziewczyn w fantazyjnych kreacjach, które gromadziły się przy podjazdach ruchomych pasaży. No tak, zaczął się weekend! Wchodząc na najwyższy z mostów Trójoazy, spojrzała z góry na rodzinne miasto, zbudowane naprędce, jak wiele innych, dwie dekady temu. Lecz jak niewiele innych – całkowicie na łonie natury, wśród sosnowo-świerkowych borów. Lubiła wiosenny zapach igliwia, który przenikał dziś wraz z ciepłymi podmuchami wiatru każdą z wyróżniających się kolorystą dzielnic: brytyjską, holenderską, włoską i hiszpańską pośród całej reszty polskich.

Imigracja po tranzycji, przypomniało jej się poprawne sformułowanie. *Dobrze, że tutaj nieznaczną.*

Teraz poczuła się aspołeczna. Ale nie lubiła tłoku. Masowy napływ ludności z zalanych części lądów na te ocalałe, bądź samoistnie wynurzone z morza, dotyczył Trójoazy faktycznie w niewielkim stopniu. Pewnie dlatego, że była tak ukryta i – zdawałoby się – odcięta od pędzącej z nowym prądem cywilizacji. Jakże inaczej rzecz się miała w niedalekim Krakowie, w tej mieszaninie narodowości. Tam angielskim – wspólnym językiem zjednoczonego świata – posługiwano się powszechnie już nie tylko w szkołach, ale i na ulicach!

Kaska nie chciała opuszczać rodzinnego miasta. Odpowiadało jej niespieszne tempo życia, które toczyło się tu w symbiozie z tak bliską naturą. Myśl o wyjeździe na studia budziła w niej niepokój. *Ale jeszcze cały rok*, pocieszała samą siebie. *Dobrze, że reforma dodała ten rok, wymuszając pełnoletniość na odjechanych kierunkach.*

Znów zaczęła drzeć w środku. *Dlaczego?! Przecież nie z powodu studiów. Albo minionej tranzycji!* Fakt, nie umiała myśleć o niej spokojnie, mimo że dotknęła nie ją osobiście, lecz matkę. Dziadków już nie poznała. Podziwiała w duchu ludzi, którzy przetrwali czas wielkiego testu, zwanego do dziś żartobliwie Apokalipsą albo Armagedonem,

w żadnym jednak razie Potopem. Chyba dla odróżnienia od biblijnego, choć ta nazwa pasowałaby najbardziej. Słuchała z uwagą odwiedzających matkę znajomych, którzy wspominali z dumą, jak to wystarczyło się nie bać, ale tak do końca. I nie patrzeć nawet przez okna, co dzieje się wokół. Zaufać, zawierzyć, nie wpaść w panikę i przetrwać dni ciemności. Cieszyła się, że urodziła się później, bo na pewno umarłaby ze strachu. Wspominali z rozrzewnieniem i takich... Lecz jej dzisiejsze rozedrganie nie było reakcją na wspomnienia. *Czyżby ten biwak?!*

Przed zejściem z mostu spojrzała raz jeszcze na odległe góry i otaczające miasto połacie lasu. Gdy przesunęła wzrok po linii horyzontu, coś ją zaskoczyło. Nie od razu uświadomiła sobie, co w tym widoku jej nie pasuje. On nie był niecodzienny – był po prostu niemożliwy!

Co to, nagły zachód?!, próbowała zrozumieć. *Ale przecież słońce wciąż jest po przeciwnej stronie...*

Różowa kula, która przed chwilą rozbłęysła tuż nad wierzchołkami świerków, teraz spadła bezgłośnie w sam środek boru. Jej ruchowi ku ziemi wtórowało falowanie drzew, które wydały się drgającym obrazem. Drgania rozeszły się w niewielkim fragmencie lasu – za to otaczające go połacie pozostały nieruchome. Kaśka przetarła oczy. Zjawisko zniknęło tak szybko, jak się pojawiło – poruszone drzewa zastygły w idealnej harmonii z resztą krajobrazu. Rozejrzała się naprędce, sprawdzając czy inni też to dostrzegli. Nikt jednak nie zatrzymał się na drodze, nie spoglądał z zaciekawieniem w kierunku zanikłego mirażu. Czyżby tylko ona stała teraz wystarczająco wysoko...?

Gdy po chwili wgapienia się w ścianę zieleni nie dostrzegła już jej poruszenia, uznała, że doświadczyła złudzenia. I przypomniała sobie, że śpieszy się na biwak.

Czy aby nie w te lasy jedziemy? – pomyślała i ruszyła przed siebie.

W Alei Architektów rozkwitające kasztanowce przywołały maturę Roberta. Nie miała wątpliwości, że jej starszy o rok chłopak świetnie sobie poradzi. Na pewno wyjedzie na studia, bo Trójoaza stawiała się dla niego za ciasna. „Ty, Bryniarski, cierpisz tu chyba na niedobór stymulacji” – zabrzmiął jej w głowie komentarz chemiczki po jakimś jego wyskoku. *Trudno nie przyznać jej racji...*

Prawie wbiegła do domu. Zignorowała robota zapraszającego na obiad głosem matki, która nie wróciła jeszcze z pracy. Wskoczyła w łazience pod strumień ziołowego naparu.

Tym razem nie mogę się spóźnić!, strofowała się w popłochu, gdy pachnąca rumiankiem woda zrzuciła na dno basenu kłęby piany z jej skóry. Wytarła się w biegu, obserwując jednak z uwagą swoje zgrabne, siedemnastoletnie ciało w wielkim, pokojowym lustrze. Wciągnęła džinsy i wiązaną koszulę. Mimo pośpiechu nie zapomniała o starannym rozłożeniu fałd. Długie jasne włosy – przedmiot zazdrości koleżanek – związała taśmą niemal bez suszenia, błogosławiąc w duchu piękne słońce tego dnia. Zdążyła jeszcze wysłać wiadomość: „Mamo! Wyjeżdżam na weekendowy rajd z klasą Roberta i bardzo się śpieszę. Nie denerwuj się. Całusy. Kasia”. I zostawiła komórkę w domu, by uniknąć zbędnego dochodzenia.

Na dworcu przywitały ją okrzyki rozbawionych czwartoklasistów. I Malicki był już na miejscu. Pozdrowiła niepewnie nauczyciela.

– Katarzyna Głębocka z trzeciej „C” dziś gościnnie z nami! – pozdrowił ją z życzliwym uśmiechem. – Robert zaraz będzie. Posłałem go po coś ze sprzętu.

Malicki uznał chyba za powinność dotrzymać jej towarzystwa wśród własnych wychowanków. Lubila tego nauczyciela. Z natury wesoły i niestwarzający dystansu, dziś ubrany w sportowe ciuchy, i tak miał w sobie jakąś dozę dostojności. Lepszym, zasłyszonym przez nią ostatnio terminem, byłoby „wewnętrzne osadzenie”. Z pewnością przetrwał tranzycję bez trudu, mimo że był wtedy pewnie dziesięciolatkiem. Nie zabawiał jej rozmową, ale czuła roztoczoną nad sobą opiekę, która przywróciła jej przyjemny stan spokoju. Szkoda, że niełatwo było czuć spokój przy Robercie...

– Maciek, coś ty napchał w ten plecak?! – Dostrzegła kumpla z sąsiedztwa. – Ale fajnie, że zabrałeś gitarę!

Nie zauważyła, kiedy zjawił się Robert. Prawie wpadł na peron, lawirując między podróżnymi. Zakradł się do niej, objął ją w talii i pocałował w policzek.

– Pociąg wjeżdża! – odskoczyła zawstydzona.

Wskazała wyraźny już, srebrzysty pysk pojazdu o delfinim wyrazie. Sunął tunelem świeżej zieleni, domkniętym z góry przez lazur nieba. Kaśka oddała swój plecak Robertowi, gdy zautomatyzowany skład wahadłowy podpłynął na magnetycznym zawieszaniu.

• • •

Pasażerowie pospiesznie zajmowali miejsca. Niektórym bagaże wносиły roboty. Uczniowie odnaleźli się w jednym wagonie i dopadli siedzeń, nim pojazd przyspieszył.

– Słyszeliście, co ludzie gadają o tych lasach, do których jedziemy? – rzuciła Magda niby od niechcenia. – Jakieś huki, grzmoty, z ziemi bucha para – cytowała wieści zasłyszane w lokalnym centrum handlowym. – Czyżby uzbrojeni grzybiarze?

– Odstaw dragi! – skomentował zaraz któryś z kolegów.

Inni podjęli temat. Sklecieli naprędce kilka krwawo ubarwionych historii z dyrektorem szkoły w roli głównej. Zamilkli, gdyż pociąg zaczął zwalniać. Gotowi do wyjścia, śledzili widok za szybą. Okolica nie przypominała już miasta, lecz dzikie ustronie.

Syk otwieranych drzwi i słodką woń krzewów na podmiejskiej stacji, obsypanych żółtymi kwiatami, Robert uznał za zaproszenie do dobrej zabawy. Ruszył leśną ścieżką wraz z Kaśką i rozgadaną grupą kolegów. Strząsali z sosnowych szpilek krople przelotnego deszczu, które skrzyły się w locie, jakby mrugały konspiracyjnie...

Oczekiwał, jak oni wszyscy, czegoś niezwykłego po tym weekendzie. Nie spodziewał się, że upragniona niezwykłość może go przerosnąć. I wryć się w pamięć obrazami nie do usunięcia.

Maturalna młodzież ochrypla od śpiewów przy ogniu, nim dotarła na nocleg w leśnym schronisku.

– Szefowie klasy odpowiadają za nocny porządek – zarządził Malicki.

Posłał wymowne spojrzenie Robertowi i Maćkowi – chłopakom nie przypadkiem obdarzonym tą funkcją – i udał się na spoczynek. Trzydziestka podopiecznych bez słowa poszła w jego ślady.

Robert był dumny z zaufania, jakim darzył go wychowawca. Odnajdywał w Malickim niezbędny mu w owym czasie wzorzec prawości. Niejeden wieczór spędził w domu matematyka, dyskutując z nim z zapamiętaniem. *Musi mnie lubić, ma do mnie cierpliwość*, myślał. Zresztą cała szkoła zazdrościła czwartej „B” wychowawcy. Zyskiwał posłuch bez sankcji, a tę trudną do okiełznania klasę nieraz wybawił z opresji.

• • •

Podczas sobotniej wędrowki przywoływano wydarzenia czterech minionych lat. Gdy grupka niezainteresowanych tym dziewcząt oderwała się, by omówić nowinki ze świata mody, na pierwszy plan wspomnień wybiła się postać Macieja Lewkiewicza, który wyróżniał się talentem technicznym.

– „Lewkiewicz zrobił zwarcie przed testem na maszynie!” – do dyskusji włączył się wychowawca. – „Symulatory też na pewno on blokuje na sprawdzianach!” – cytował skargi z pokoju nauczycieli i śledził wzrokiem skruszonego na pokaz Maćka. – Albo: „Bryniarski, taki zdolny, a nie może usiedzieć na tyłku trzech kwadransów!”. – Malicki zmienił adresata. – „Dziś łąził na rękach! To jest ADHD bez deficytu uwagi!” – Tym razem spojrzał wymownie na Roberta.

Wtedy Magda wyrwała się z nową rewelacją. Bez jasnego powodu zaczęła opowiadać sen o próbie porwania przez kosmitów. Bartek odwdzińczył się historią o psie sąsiadów, który z takiego porwania wrócił z czipem w głowie. Młodzież zwijała się ze śmiechu, przywołując coraz to nowe sceny kosmo-kidnappingu. Ten modny ostatnio temat żartów pochłoniął ich do kolejnej nocy z ogniskiem i gitarą. I chyba nikt nie zauważył, że Magdę coś gnębi.

NIEPROSZENI

Od momentu lądowania Traggeri czuł się tu nieswojo. Nie była to przecież pierwsza „inna planeta” w jego życiu ani nawet dwudziesta pierwsza (szybka kalkulacja przyniosła odpowiedź: dwudziesta

siódma). Czyżby tak wiele zmieniał transfer do innego ramienia Galaktyki? Zapewne też i to, ale ostatni etap podróży wśród nieznanych ciał niebieskich ani w połowie nie wytracił go z równowagi tak, jak docelowa Mahabor III. Z pozoru nie wyróżniała się jakoś szczególnie na tle znanych światów ani warunkami geofizycznymi, ani charakterem powstałego tu życia. Ale coś było nie tak z wibracją. Zgodnie z konwencją za niska, żeby w ogóle tu lądować. Lecz Trageri został tu wysłany z misją, którą traktował bardziej jako ratunkową niż rozpoznawczą. Szybko przekonał się, że łatwiej zniósłby nawet niższe, ale stabilne częstotliwości niż ich tutejszą chybotałość. Nie przywykł do takich wahań, które nie pozwalają ugruntować odczuć. A przecież na doznaniowym odbiorze musi polegać dowodzący zespołem koryfer, zwłaszcza gdy przyrządy mówią zbyt mało w nieznanym środowisku.

Licząc na szybką adaptację do tych nietypowych warunków, Trageri wykonał wraz z zespołem niezbędne prace rutynowe. Założył bazę i na planecie, i w bezpiecznym od niej oddaleniu. Zebrał też dane o żyjących tu gatunkach za pomocą dostępnych technik nieinwazyjnych. W temacie „porozumienie z inteligentnymi mieszkańcami globu” poniósł kompletne fiasko. Wyjaśnienie przyczyny tego faktu sam uznał za pobieżne. Cały jego zespół wciąż wracał do analiz – bez klarownych konkluzji.

Znajomość języka tutejszej rasy naczelnej też była żenująco słaba – mimo że czas pobytu koryfu w systemie Mahabor gnał nieubłaganie. Nie odnaleziono śladu Cothleya i to martwiło Trageriego najbardziej. Przyrządy milczały, ale co jakiś czas miał wrażenie, że wyczuwa vibracje zaginionego koryfera. Stanom tym towarzyszyła jednak nie radość, lecz jakaś umykająca percepcji groza. Ale niczego nie można było być pewnym w tym mahaborskim kotle oscylacji. Wzdrygał się przed bardziej radykalnymi krokami, które ułatwiłyby poszukiwania, i czuł się coraz bardziej beużyteczny. W końcu podjął decyzję, którą w innej sytuacji odrzuciłby jako zbyt ryzykowną.

NIEPOWAŻNI

W niedzielę rano maturzyści zatrzymali się nad niewielkim jeziorem. Trzciny szumiały wokół, a pogoda zachęcała do kąpieli. Na niewielkiej plaży Kaśka usiadła na ręczniku razem z Robertem tuż obok jego klasowych kumpli. Ci bez skrępowania pożerali wzrokiem dziewczynę wielbionego tu Maćka – kształtną Kamilę w skąnym kostiumie.

Kaśka przyjrzała się uważnie swojemu chłopakowi, który w odpowiedzi przesunął żdźbło trawy po jej łydce. Próbowwała zebrać rozbiegane myśli. Zaczynało ją drećzyć przeczucie zbliżającego się końca.

Końca czego?, dociekała. Rajdu, szkoły czy końca bycia razem?

Z Robertem związana była od dzieciństwa. Wychowali się na wspólnym, interaktywnym (w myśl zasady *Przywróćmy dzieci naturze*) podwórku wielopiętrowego osiedla. Znała dobrze jego ojca, a on jej matkę. Jako dziecko nieraz spadła przez niego z drzewa, próbując dostać się tam, gdzie on wlaźł. Potem, jako chudy podłotek, przypłacała siniakami skoki przez parkany, akrobacje na rolkach czy ryzykancki snowboard. Nadszedł jednak czas, gdy zaczęło ją irytować, że Robert uwielbia bić sportowe rekordy bez względu na ryzyko. Gdyby jego ojciec widział wymyślony przez niego konkurs lotniarski, spuściłby mu lanie. Podobnie jak za balansowanie nad przepaścią na pniu sosny czy zwisanie ze skałek – bez wyrzutów robiąc odstępstwo od reguły: *dzieci się nie bije!*

Miała wrażenie, że inne dziewczyny obserwują popisy Roberta z zachwytem pobudzonych samic, ona zaś, im była starsza, tym bardziej bała się jego zabaw. Odstawała od towarzystwa hardkorów. Zaczynała u niej przeważać kobieca potrzeba bezpieczeństwa, a na ustatkowanie się Roberta liczyć się nie dało.

Kim była okryta tajemnicą postać pani Bryniarskiej?, zastanawiała się czasem Kaśka. Widziała ją tylko na kilku lichych filmikach, podobnie jak Robert. Ze zdjęcia ślubnego, zawieszonego w sypialni jego ojca, spoglądała ciemnymi oczyma piękna brunetka o ciepłym uśmiechu i oliwkowej cerze. Jakoś bardzo południowa... To pewnie po

niej Robert odziedziczył cały ten temperament, bo przecież nie po statecznym Piotrze Bryniarskim. Ten nie rozumiał zachowań syna. Opiekunki w ukryciu przed ojcem zacierają ślady konstruktorskich zapędów dzieciaka, podczas których zwykle coś psuł. Czarnowłosa, czarnooki, „ciekawski ładny chłopiec” zawsze grzecznie przeproszał, mrugając niewinnie długimi rękami. Ale według ojca miał diabła za skórą. Niełatwo było go jednak utemperować, bo chłopak, na ogół pogodny i skory do żartów, karany popadał w odrętwienie i odmawiał nawet jedzenia. Nie płakał. Za to kiedyś zdemolował pokój, zamknęty w nim na długo...

Kiedy zaczęli dorastać, Kaśka odkryła, że niepokoi ją nowa, seksualna energia, która go ogarnia. Dawała mu wyraźnie do zrozumienia, że zniechęcają ją erotyczne zachowania i że ma je opanować. Więc opanowywał i nie pytała nawet jak. Woląa tulić się do niego bezpiecznie i przysięgać wieczną miłość w szałasach z leśnych zrębów, „kajutach” wyciętych w szuwarach czy lokalach ukrytych w żarnowcu – reliktach z dziecięcych scenariuszy.

Według jej koleżanek było cudem, że Robert poddawał się muzealnej formie związku, a on kumplom się chyba nie skarżył. Niedawno jednak, gdy po namiętnych pocałunkach, którymi ją obdarzył, powstrzymała go z niemałym już trudem od zdjęcia z niej ubrania, zapytał z wyrzutem: „Czy ty mnie naprawdę kochasz?”. Odpowiedziała, że tak, tylko jeszcze nie czas. Ale pytanie zbiło ją z tropu – było zadane zbyt wprost, wręcz prostacko i jakoś podważało te wszystkie ładne zapewnienia, których potrzebowała. I czy kochać naprawdę można dopiero z seksem? Obawiała się jego żądzy jak nieokiełznanej rzeki, która, gdy zerwie tamę, zaleje ją wodospadem.

Tymczasem na szczęście wyżywał się w sporcie. Jednak teraz, na biwaku, dostrzegła z niepokojem, że ten jej chłopak o południowej urodzie i wysportowanej sylwetce ściąga na siebie zbyt wiele spojrzeń klasowych koleżanek. Gdyby jej tu nie było, pewnie któraś ofiarowałaby mu z radością to, czego ona z uporem odmawiała. A może czasem dyskretnie dogadywał się z nimi? To byłby koniec! Katarzyna nabierała obawy, że ta miłość studiów nie przetrwa...

Zapraszając ją na rajd, Robert z nietypową dla siebie powagą zapowiedział rozmowę o planach na przyszłość. I Kaśka wyczekiwała jej nie bez lęku. Tymczasem minął piątek, sobota...

– Mieliliśmy pogadać – zagadnęła go, gdy sąsiedzi ruszyli do jeziora.

Pochylił się nad jej głową. Lubił zaglądać w jej intensywnie niebieskie oczy w oprawie ciemnoszarych rzęs... Nagle przezroczysty pęcherz z wodą rozbryzgnął przed ich twarzami. Robert poderwał się, by zlokalizować dowcipnisia. Szybko jednak machnął ręką i usiadł.

– Co chcesz studiować? – Postanowił zmierzyć się z tematem.

– Jeszcze nie wiem. – Ściągnęła brwi w rozterce.

– A o AcAs już nie myślisz?

Zamilkła, przymykając oczy. *Akademia Astronautyki?! W tej samej chwili Robert poczuł chłód spływającego mu na kark strumienia i usłyszał głos Maćka: „Jaśnie państwo się nie kąpią!”*

– Goń się! – rzucił i błyskawicznie odchylił się do tyłu, chwytając napastnika za nogi.

Gdy rozległ się donośny pisk, Robert wiedział już, że popełnił błąd. Na trawę jak długa runęła Kamila.

– Przepraszam. – Podał rękę koleżance przy wtórze rechotu plązowiczów.

Kamila i Maciek położyli się nieopodal, a Robert podjął kolejną próbę rozmowy z Kaśką.

– To co, spróbujesz na astronautykę? – starał się powiedzieć to naturalnie, ale nawet w jego uszach zabrzmiało groteskowo.

Zanim doczekał się odpowiedzi, zauważył zbliżającego się Bartka. Kolega zostawił ponton dziewczynom, wywłókł się z wody i zmierzał dokładnie na ten fragment plaży. Wyglądał niewyraźnie.

– Słuchaj, Robert – odezwał się Bartek i zaczerpnął powietrza. – Chciałem ci zadać jedno pytanie, bo nie daje mi to spokoju od dłuższego czasu. – Spojrzał w niebo. – Właściwie nie wiem, jak zacząć. Kasia... Kasię bardzo lubię, ale... – Odwrócił głowę w bok. – Nie, nie, zostań, Kasia, ja zapytam przy tobie – przerwał.

Robert nie pojmował, dlaczego mówienie sprawia koledze taką trudność.

Kamila i Maciek przysunęli się z zaciekawieniem.

– No dobra, będę walił bez wstępów. Słuchaj, stary... – Bartek dramatycznie zawiesił głos. – Która godzina?!

Ostatnia sylaba zabrzmiała już jak skowyt. Obserwatorzy zniechęcomieli w dziwnych pozach. I zaraz dołączyli do Bartka, który prawie wył, dając upust wstrzymywanemu wybuchowi śmiechu. Robert podniósł się z trawy i chwycił Kaśkę za rękę.

– Chodźmy stąd! – rzucił, sam krztusząc się śmiechem. – To banda idiotów!

Pociągnął ją za sobą w głąb lasu. Długo biegli ścieżką wśród wysokich świerków. Wreszcie wokół przejaśniało... Zatrzymali się na polanie, otoczonej sosnowym młodnikiem. Rozgrzane powietrze pachniało żywicą. Na niebie zawisł skowronek i popisywał się wibrującym trelem. Natura pulsowała życiem.

– Siądźmy tutaj. – Robert wskazał powalony pień, wokół którego wędrowała zgraja mrówek. *Pełno ich tu wszędzie, ale cóż...*

Dziewczyna usiadła, a on przyglądał jej się bez słowa. Miała na sobie kostium z modnego ostatnio torlenu, który swobodnie poddawał się wypukłościom ciała. Całość jednoczęściowego, śmiało wykrojonego stroju, urywała się nagle nad linią biustu, gdzie dało się dostrzec sprężystą tasiemkę koloru opalanej skóry. *Gdyby tak pociągnąć za tę tasiemkę?*, pomyślał, a głośno powiedział:

– Mam potwierdzenie z AcAs-Solland. Wyznaczyli mi termin egzaminów wstępnych.

Myśli Kaśki przyspieszyły nagle.

– Sollandzka Akademia Astronautyki jest w naszym regionie? – zapytała.

Spojrzał na nią zdumiony. Dawna partnerka w marzeniach o międzygwiezdnych podróżach teraz wykazywała taką ignorancję!

– Słodka blondynko, nie wiesz, gdzie leży Solland? – rzucił z ironią, przemieszaną z czułością. – To siódemka, enklawa lądów odzyskanych! W naszej strefie klimatycznej, tylko sporo na zachód.

– No tak, kojarzę – zreflektowała się. – Ale będziesz często przyjeżdżał?

– To uczelnia podwyższonego reżimu – wyjaśnił. – Obozy treningowe na przemian z zajęciami, testy odporności. – Rozłożył ręce. – Przez pół roku się stamtąd nie ruszę. O ile się tam dostanę!

Resztki uśmiechu z ust Katarzyny zniknęły bez śladu. Zamilkła.

– Myślałam, że to nasze szczeniackie fantazje – odezwała się w końcu. – A ty tak poważnie?

– Może się uda. – Puścił do niej oko. – Sollandzka akademii szybko się rozrosła, zbudowali niezłe stacje orbitalne, mają już sporo międzyplanetarnych załogowych, a na wzmocnionej fotonówce pewnie ruszymy dalej. – Rozejrzał się, jakby szukał wsparcia.

W powietrzu drgała tylko para znad bagien.

– Widzę, że bardzo cię to podnieca – skomentowała z ironią.

– Ale musielibyśmy się czasowo rozstać – drażył temat dalej.

– To daruj sobie! – wypaliła.

Zaprzeczył ruchem głowy, a jego twarz przybrała wyraz na tyle niewzruszony, że zaszklily jej się oczy.

– Więc jedź, jeśli to twoje powołanie – rzekła z egzaltacją. – Ja cię nie zatrzymuję!

– Właśnie że tak. – Stał wierzchem dłoni lżąc z jej zaróżowionego słońcem policzka. – Co jest, kochanie? Przecież nawet gdy uda mi się to skończyć i nawet gdy tam zostanę... zabiorę cię do siebie.

– Ale będziesz latał! – Nie wątpiła, że uda mu się skończyć te studia. – A ja mam czekać? Do dupy takie życie!

Westchnął głęboko z braku argumentów. Przygarnął ją mocno. Wtuliła się w niego jakby w obawie, że go traci. Pogładził jej włosy, opadające lokami na ramiona. Potem odgarnął je i musnął wargami jej szyję, najdelikatniej jak potrafił. Nie wyczuwając protestu, poszukał jej ust. W pełni odwzajemniła pocałunek – jak rzadko do tej pory. I kolejne jej pocałunki były dziś gorące. Ale obawiał się, że, jak zawsze, dalsze próby cielesnego zbliżenia wstrzyma w popłochu. Tymczasem była na tyle przyzwalająca, że uwierzył, że może tym razem... Poczuł żar wzbierający w żyłach, gdy bładził rękami po jej nagich plecach, całował piersi przez elastyczny materiał. Jego dotyk nabierał intensywności, choć wyrzucał sobie, że

nie umie być tak delikatny, jak pewnie ona by chciała. Gdy wyczuł jej protest, szepnął:

– Proszę, nie zatrzymuj mnie teraz, kochana! Bo nie dam już rady... Zaufasz mi?

Chciała powiedzieć, że zaufa, choć nie ufała do końca. Czuła, że on wyzbył się hamulców i przestraszyła się, że już nie zdoła go powstrzymać.

– Chodź na trawę – powiedział zmienionym głosem.

Nie pozwoliła unieść się z pnia. Znowu pomyślał o tasiemce od stroju. Z łatwością wysunęła się z brzegów kostiumu. Strój zwinął się błyskawicznie, odsłaniając krągłe, jasne piersi dziewczyny. Przełknął głośno ślinę, a ona zamknęła oczy.

Co ja robię?!, Kaśkę dopadła jednak obawa.

Ujrzała w myślach grymas na twarzy matki. To przywróciło jej poczucie rzeczywistości. Wyrwała się z objęć i szepnęła:

– A jeśli ktoś nas widzi?

Robert obejrzał się odruchowo. I wtedy stało się z nim coś dziwnego. Poczula, jak sprężył się cały. Krzyknął nieswoim głosem:

– Uciekajmy!

Skołowana zamarła bez ruchu. On zerwał się z pnia i wyciągnął dłoń w jej stronę. Bezmyślnie ruszyła przed siebie, zmuszając się do biegu. Nie podała mu ręki – chwyciła opadający kostium. Patrząc pod nogi dostrzegła kątem oka, jak on rzucił się w bok, jakby przed czymś uskakując, i przekoziółkował po trawie. Biegając, próbowała odnaleźć go wzrokiem. Wtedy potknęła się o gałąź i straciła równowagę. Tuż przed upadkiem mignął jej obraz, ruchomy, nieprawdopodobny. Jej wstrząśnięty umysł próbował wykonać komendę *USUŃ*. Nim zdołał to zrobić, odczuła dziwną miękkość, a myśli zapadły się w spiralną studnię...

• • •

Gdy Robert poderwał się z ziemi, ruszył przed siebie na oślep. Ale obejrzał się w końcu. Nie dostrzegł już ani Kaśki, ani tego, co zbliżało się do nich bez szmeru. *Ożeż kurwa, Jezu Chryste! Co to mogło być...?! Czarne szkielety?! Latające...?! Kostucha, idioto?! A nawet cztery? Co za pojemnik*

ciągnęły...? Zatrzymał się. Nie mógł wciąż opanować drżenia. Ohydna wizja sprzed chwili zawładnęła nim całkowicie. Próbował zebrać myśli. Nie było Kaśki. *Czyżby to ją pochłonęło?*! Wzdrygnął się na samą myśl. Polana była rozległa. Nieprawdopodobne, by Kaśka dobiegła do ściany lasu. Może się przewróciła, może utknęła w jakimś wykrocie? Lęk przed zagładą topniał pod brzemieniem odpowiedzialności.

– Kaśka! – krzyknął.

Nie usłyszał odpowiedzi. Mimo strachu wracał przez polanę, nie przestając wołać. Rozgarniał krzaki, podnosił gałęzie. Nie znalazł nic. Zaczął szukać w lesie, ale z wolna ogarniało go zwątpienie. W końcu usiadł na pieńku i ukrył twarz w dłoniach. Czekał...

Mechaniczne stukanie dziecięcia nieubłagane odmierzało czas. Próbował uwierzyć, że za chwilę obudzi się w łóżku, a upiorne wypadki, jak już nieraz bywało, okażą się senną marą. Widmo, o którym usiłował zapomnieć, miało wszelkie znamiona absurdu. Było jednak na tyle wyraziste, że mózg odtwarzał je uparcie. *Gdzie jest Kaśka?*! Nie mógł sobie darować, że tak bezmyślnie ją zostawił. Dlaczego nad sobą nie zapanował?!

W końcu spojrzał na zegarek i stwierdził z przestachem, że odłączyli się od grupy ponad trzy godziny temu. Postanowił stawić czoło rzeczywistości. Zaczynało się ściemniać. Podniósł się, gotów wracać. Przeszedł kilka metrów i stanął jak wryty. Ujrzał ją niemal u swoich stóp. Leżała w naturalnym zagłębieniu terenu w bujnej w tym miejscu trawie. Pochylił się i dotknął jej ramienia. Otworzyła oczy, usiadła i uśmiechnęła się do niego. Odetchnął z ulgą ulaskawionego.

– Co się stało? – zapytała.

– Myślałem, że ty mi powiesz!

– Ja? Ty kazałeś mi uciekać! – odrzekła z wyrzutem.

– Nie wiesz, co się z tobą działo?! – Nie mógł uwierzyć.

– Biegłam, potknęłam się i... straciłam na chwilę przytomność?

– Na chwilę? – Zachnął się. – Na kilka godzin! Nie słyszałaś jak cię wołam?

Potrząsnęła przecząco głową.

– Nic nie rozumiem! – Wzniósł oczy w niebo. – Wracamy!

– To oddaj moją taśmę! – Wskazała wzrokiem dłoń, którymi przytrzymywała kurczący się kostium.

– Nie mam! – Robert bezradnie rozłożył ręce. – Nie znalazłem jej. Skrzywiła się, nie dowierzając, że on wie, o co chodzi.

– Pamiętasz chociaż, jak wyglądała?! – prychnęła.

– Jak pieprzony wyrzut sumienia! – nie wytrzymał. – Jasny brąz, z jaskrawą firmówką na odwrocie.

– Okej. Zimno... I jak ja się tak pokażę? – westchnęła załamana.

• • •

Nad jeziorem zastali wściekłego Maćka, siedzącego przy plecakach. Był wciąż w t-shircie i spodenkach, choć na pewno doskwierał mu chłód zachodu, który rozlał się już purpurą po niebie.

– Pogięło was?! – rzucił na powitanie. – Dłużej nie mogliście?! – Chwycił garściami płowe włosy w geście rozpacz.

– Stało się coś niesamowitego. – Głos Roberta utracił swą zwykłą dźwięczność.

– Spodziewam się! – Maciek spojrzał wymownie na Katarzynę, wciąż przytrzymującą strój. – Malicki nie chciał dłużej czekać. W końcu nikt nie miał już nastroju do żartów. – Wykrzywił wąskie usta z niesmakiem.

Nie doczekawszy się reakcji wyjął dzinsy i kurtkę z plecaka. Robert pomógł przebrać się Kaśce i sam wciągnął dres.

– Też nie mam nastroju do żartów – rzekł po chwili tonem tak wyzutym z emocji, że Maciek włączył oświetlacz, by przyjrzeć się koledze. Czekał bez słowa na komentarz – i się nie doczekał.

• • •

Ruszyli w drogę powrotną. Robert zaczął w końcu mówić. Zrelacjonował niedawne zajście. Pomiął jednak absurdalne szczegóły swojej wizji.

– To tak, jakby zaczęło się na nas w powietrzu jakieś pudło – podsumował. – Absorpcyjne – dodał, nie wiedząc czemu. – Kontener z ciemną czeluścią. Wyjątkowo paskudny...

Maciek szybko przejął atmosferę opowieści. Zaaferowany potknął się kilka razy, ledwie podnosząc długie nogi nad zmurszałymi pniami. Uznał, że należy tu koniecznie jutro wrócić. Mimo półmroku co rusz przyglądał się Kaśce. Ta zaś od chwili, gdy przez telefon Roberta uspokoiła matkę, że już wraca, beztrudno wypatrywała świetlików. Jakoś szybko wchodziły w tym roku w okres godowy, błyskając wokół hipnotyczną zielenią.

W poniedziałek koledzy uciekli z kilku lekcji i, mimo niechęci Roberta, przeszukali raz jeszcze miejsce podejrzanego zdarzenia. Bezskutecznie. Zwłaszcza, że nie wiedzieli nawet, czego szukają – oprócz sławetnej tasiemki Kaśki. W końcu chłopak uwierzył prawie, iż uległ przywidzeniu, które podsunęła mu wyobraźnia. A według złośliwej opinii przyjaciela jego wyobraźnia była wtedy mocno rozbudzona.

– Jedna rzecz nie pasuje – bronił się resztką sił Robert. – Bo niech już będzie, że to ja najpierw miałem zwidy, a potem nie widziałem leżącej Kaśki. Ale ten upływ czasu! Straciła przytomność na tak długo po upadku na miękką trawę?! No i była nieświadoma, że minęło ponad trzy godziny!

– A ty byłeś świadomy? – zripostował Maciek bez jasnego sensu.

– No raczej! Miałem przecież ten *smartwatch*! – Wskazał zegarek.

– A gdybyś nie miał?

– Że niby i ja mogłem być nieprzytomny?! – Robert zastanawiał się przez chwilę. – Co, jakiś teleport? Albo porwanie kosmitów?! – Jego głos zdradzał irytację. – Jednak zmień diler!

– Tak tylko dywaguję. – Maciek wzruszył ramionami.

Robert starał się puścić uwagi kolegi mimo uszu. Jednak niewinnie zasiane ziarno niepokoju zakiełkowało mimo świadomego protestu. Z kolei Kaśka niechętnie rozmawiała na temat wydarzenia i zdawało się, że szybko o nim zapomniała. Ale w pełni zapomnieć nie mogła.

ZWIASTUNY NIEZNANEGO

Klasa Roberta rozpoczęła przygotowania do egzaminów. On sam spędzał nieliczne już teraz wolne chwile z Katarzyną, dopingowany

dodatkowo poczuciem winy. Na szczęście nie wróciła do tematu jego studiów. Zauważył natomiast, że jakby spoważniała. Nie była to drastyczna zmiana. Potrafiła po dawnemu śmiać się i żartować, lecz co jakiś czas popadała w melancholijne zamyślenie. Jednocześnie zorientował się, że Kaśka systematycznie pogłębia wiedzę – zwłaszcza z fizyki i chemii. Potrafiła mówić o siłach, falach, jonach wchodzących w reakcję z taką swobodą, jakby całe dni spędzała w laboratorium. Imponowało mu to i zadziwiała jednocześnie.

– Studiujesz ostatnio dzieła naukowe? – zapytał kiedyś tonem stetryczalego profesora.

– Sam sobie studiuj, ja mam jeszcze cały rok. – Wzruszyła ramionami.

Wtedy coś sobie uzmysłowił. Otóż jej wiedza miała głównie charakter praktyczny. Kaśka знаła zazwyczaj przebieg zjawiska, nie pamiętając jego nazwy. Z trudem opisywała proces słowami przyjętymi w nauce, łatwo natomiast demonstrowała go na migi. Mówiła na przykład, że elektrony rozpędza się w czymś takim z polem magnetycznym, zwiniętym jak ślimak, ale nie kojarzyła tego z nazwą cyklotron. Dodała kiedyś z absolutnym przekonaniem, że w bardziej zaawansowanym urządzeniu można rozpędzać cząstki ponad prędkość światła. Wobec pewności Roberta, że zjawiska nie omawiano w szkole, twierdziła, że ma rzecz przed oczami i że widziała ją zapewne w holo. On zaś nie oglądał ostatnio holowizji. Od tej pory starał się jednak uważniej słuchać wywodów Katarzyny. Zaczął ją nawet podejrzewać o kontakty z którymś fizykiem z tutejszego ośrodka, jednak dowodów nie znalazł.

Tuż przed maturą wyrwali się nad rzekę. Zapach kwitnących ziół przyprawiał o zawrót głowy, a bez troskie podzwanianie owadów aż zarażało swobodą. On, zmęczony, obiecywał sobie nadrobić czas spędzony przed komputerowym terminalem zaraz po egzaminach, ona zaś była w doskonałym humorze.

– Jak przygotowania? – zagadnęła z uśmiechem.

Odchyliła kępę lucerny, by usiąść bliżej niego na ławce.

– Mam dość tych ciśnień. Wkurza mnie brak ruchu! – westchnął. – Ze ścisłych spoko, ale obywatela prawie nie tknąłem. No, ale chyba

będzie standard: *Zmiany demograficzne po korekcie lądów, Przyspieszenie naukowo-techniczne w efekcie zniesienia granic, Zintegrowana gospodarka światowa, Ujednolicony system oświaty...*

Kaśka skinęła głową.

– *Regeneracja zatrutych terenów* – podjęła. – Albo wprost: *Obywatel lat pięćdziesiątych*.

– A ze społecznej: *Społeczeństwo ekologiczne* – rozkręcał się Robert. – *Zachowania sprzyjające przetrwaniu kłesk żywiołowych czy jednoczący efekt wspólnej odbudowy*. – Poczul się przygotowany. – To się zna choćby z historii rodzinnych. Za to z biologii jestem cienki jak dupa zaskrońca.

Zaśmiała się na myśl o nieszkodliwym gadzie.

– Pewnie żałujesz, że nie popracowano nad tobą w łonie – rzuciła.

– Czyli? – Nie pojął tej aluzji.

– No, że najlepiej chwyta się w okresie... prenatalnym – wyjaśniła cierpliwie.

– Co się chwyta? – Zdziwił się jej poczuciem humoru.

– Informacje. Teraz miałbyś jak znalazł na przykład syntezę białka. – Jej współczucie wyglądało na szczere.

– Wała ze mnie ciśniesz? – odparł, choć nie podejrzewał jej o złą wolę.

– No co ty! – obruszyła się. – Mówię o tym kodowaniu podprogowym czy... podświadomym. Tak to się nazywa? No, ten profesor, co go wylali za eksperymenty na... hybrydach, on to ruszył... – Westchnęła, przeszukując pamięć. – Ale przecież twój stary musi się na tym znać!

– Nie wiem, co bierzesz, ale trzymaj to ode mnie z daleka! – skwitował tonem żartu.

– Reakcja lękowa na wspomnienie tatusia? – zapytała z ironią. – Przecież nie bredzę, tylko nazwisko wyleciało mi z głowy – wróciła do tematu. – To ten sam facet, co stworzył żywe syntetyki. Musisz wiedzieć, jeśli choć liznąłeś inżynierię genetyczną!

– Nie wiem! – Robert nie krył już zagubienia.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem i rzuciła z przekąsem:

– Syn biotechnologa!

– To streść mi o tej inżynierii – poprosił.

– Ja niewiele pamiętam – przyznała. – Wymiana części genomu u organizmów niższych, biblioteki genowe, przeróbki w plemnikach... Można zmienić też jajo, zapłodnić i wyhodować nową zygotę... Nawet z dwu różnych gatunków – ucieszyła się wyraźnie.

– I co z tą zygotą? – dociekał.

– Jak to co? Rozwija się często w bardzo pięknego osobnika.

– Tak do końca, jako nowy człowiek? – Nie uwierzył, właśnie jako syn biotechnologa.

– Czemu nie? – Zaśmiała się zalotnie. – Ale przecież na ludziach jeszcze tego oficjalnie nie robiono – uspokoiła go. – Wykorzystujemy za to organizmy genetycznie modyfikowane oraz TWX 20! – wypowiedziała to z dozą dumy.

– Co to jest TWX 20?! – Robert tracił cierpliwość.

Kaśka ucichła. Śledziła wzrokiem trzmiele, grasujące w granatowych kielichach tojadu. W końcu odrzekła:

– Nie wiem. To pamiętam tylko z regułki. Ale słabo ją rozumiem. Nie wiem na przykład, co oznaczają te nazwy... jak SURSUN. Dziwnie się to pisze... Mam przed oczyma litery. – Chwyciła jakiś kij i wyryła wyraz na piasku, używając nietypowych znaków. – I jeszcze pierwsza litera ma nad sobą kółko, a na nim haczyk... o, coś takiego, tylko przestrzennie – wyjaśniła pewniejszym tonem. – To taki aligator z czubem na głowie.

– Chyba cię Bóg opuścił! – Robert próbował przywrócić klimat żartów, choć zrobiło mu się nieswojo. – Masz gorączkę? – Dotknął jej czoła. – Zimne! A może ktoś za mocno popracował nad tobą w łonie?

– Świnia!

– To przestań ściemniać, bo zacznasz mnie przerażać.

– Przecież nie ściemniam. Poczytaj o syntetykach choćby w necie. Na przykład... – zamilkła zażenowana. Nie mogła sobie przypomnieć, gdzie to widziała. – Ale przecież tak jest! Na pewno... – przerwała, błędąc nagle. – Boli! – Zaciśnęła dłonie na skroniach i nim zdążył ją przytrzymać, osunęła się w nieskoszoną trawę.

– Hej, co jest?! – Robert pochylił się nad nią, przestraszony nie na żarty.

Nie wiedział, co robić. Usiłował przypomnieć sobie zasady pierwszej pomocy. Kaśka nie była nieprzytomna. Oddychała normalnie. Pod współprzymkniętymi powiekami dostrzegł szybkie ruchy jej oczu. Zaprotestowała gwałtownie, gdy chciał unieść jej nogi. Poprawiła krótką, marszczoną spódnicę i wsparła się na łokciach. Szepnęła: „Nareszcie!” i położył się w trawie obok niej. Uśmiechnęła się blado, strąciła kilka suchych kłosów z koronkowej bluzki i wtuliła policzek w jego ramię. Po chwili podał jej rękę i pomógł wstać.

Zaproponował powrót przesieką do domu. Domyślała się, dlaczego wybrał tę drogę, ale podążyła za nim. Gdy w leśnej gęstwinie całował ją, rozpalony, powiedziała zgodnie z prawdą, że boli ją głowa.

– Wciąż jeszcze nie czas? – Starał się kryć irytację. – Mam nadzieję, że nie każesz mi czekać do twojego egzaminu dojrzałości!

– Nie, ale przynajmniej do twojego – odrzekła z wymuszonym uśmiechem.

I wtedy zobaczył to po raz pierwszy. Niekontrolowane drgnienie jej głowy. Dziwaczne i jakoś nienaturalne. Powiedziałyby nawet: niesmaczne. Ona z pewnością uznałaby je za żenujące, gdyby była go świadoma. Niby nic wielkiego, ale przeszył go dreszcz.

SZLAK POZA KOLEJNOSCIĄ * PILNE! * KIERUNEK ULDRI
– STOŻEK URAHO

DO KOORDYNATORA FOLMATHO.
Raport z szóstej monakty eksploracji MAHABOR III

Poszukiwania nie dają wciąż skutku. Nieprawdopodobne trudności w porozumieniu z mieszkańcami globu. Konwencja zabrania ryzykownej ingerencji. Wykorzystujemy każdą możliwość, która wydaje się bezpieczna. Planeta wysoce specyficzna. Trafiliśmy na niestabilne źródła wysokich wibracji osobniczych, co potwierdza doniesienia Cothleya. Proszę o zgodę na przedłużenie pobytu.

Koryfer TRAGUERI

WYNALAZCY NA BALU

Nadszedł dzień matur. Początek egzaminu pisemnego wymagał zażegnania ataku hakerów, bowiem na terminalach uczestników, zamiast zagadnień do opracowania, pojawiły się pytania dotyczące inseminacji koni. Wybryk nie był jednak próbą uszkodzenia systemu, toteż szybko przywrócono porządek. Robert pokochał wtedy konie, gdyż dzięki żartowi udało mu się uniknąć spóźnienia po niespodziewanym starciu z matką Kaśki. Rozłożone w czasie egzaminu ustne odbyły się już bez przeszkód. Wyniki zadowoliły nie tylko jego, ale w zasadzie większość zdających.

Pożegnanie maturzystów miało odbyć się, jak co roku, na balu zorganizowanym w dniu wręczenia świadectw. Do tego czasu Katarzyna Głębocka z trzeciej „C” próbowała przekonać fizyka Piłskiego, że w rozpadzie beta oprócz neutrin powstaje seria cząstek bez ładunku i znanej nazwy, cennych w generowaniu podziałów protoplazmy. Poinformowała też matematyka Malickiego, że istnieje przeliczalny i gęsty podzbiór przestrzeni rzeczywistej współrzędnych wielowymiarowych, będący również przestrzenią zupełną. Znowu nie pamiętała jego nazwy, twierdziła jednak, że zbiór ten ma kluczowe znaczenie w wykrywaniu gwiazd galaktyk spiralnych. Obaj nauczyciele przyznali się do braku wiedzy na powyższe tematy.

Od normy odbiegło również zachowanie na balu – i to zarówno absolwentów, jak i niektórych nauczycieli. Coś wymykało się spod kontroli...

Do zachodu słońca zabawa przebiegała według utartego scenariusza, potem jednak nabrała rozpędu. Strojne dziś dziewczęta rozgrzane były tańcem, wuefista wznosił toasty bezalkoholowym (podobno) szampanem, chłopcy zaś wychodzili pogadać o męskich sprawach i wracali w coraz lepszych nastrojach. W końcu dyrektor, zwany Gnatem, huknął: „Walca!” Operatorzy audio-holo, znając słabość szefa szkoły, stanęli na wysokości zadania. Na bajecznie ozdobionej sali rozległy się dźwięki starego, romantycznego tańca. Na parkiet prócz dyrektora i wicedyrektorki wypłynęło kilka innych, nauczycielskich par. Młodzież spasowała.

Robert i Maciek podziękowali partnerkom i porozumieli się spojrzeniami. Szczególny klimat dzisiejszego wieczoru, nagradzającego wyczerpujący egzamin, sprawił, że poczuli się beztroscy i wolni. Krew krążyła z nową energią, oczy błyszczały, wszystko wydawało się proste i możliwe. Powiedli wzrokiem po nauczycielskim stole. Matematyk kroił okazały tort, wuefista walczył z wywracającym się wazonem pełnym kwiatów, a dyrektor podpłynął w rytmie walca po kieliszek wina. Chwilę później opuścił salę wraz z wicedyrektorką, którą zwano Retortą chyba z racji nauczania chemii.

– Pewnie idą do jego gabinetu – zagadnął Maciek. – Może warto by przybliżyć niewdzięcznym uczniom życie pracowitej dyrekcji? – Wskazał ruchem głowy na holoprojektor.

Robert uchwycił chytre spojrzenie kolegi.

– Chcesz podglądać nauczycieli? Stare to jak świat!

– Przecież opuszczamy szkołę z tradycjami! – rozkręcał się Lewkiewicz. – Wszystko sprzed tranzycji jest tutaj w cieniu!

– Fakt. Jak ten polonez na wejściu – warknął Robert z niesmakiem. Maciek wyciągnął go za drzwi sali.

– Wiesz, co to jest? – zapytał, wyjmując z kieszeni mały, błyszczący przedmiot.

– Niech zgadnę: twój ostatni wynalazek?

– Automatyczny generator impulsu! – Maciek z dumą podrzucił przedmiot w dłoń. – Zamyka żądany obwód.

Robert zdążył oznajmić: „Nie wierzę!”, nim jakaś rozpędzona grupka wpadła Maćkowi na plecy i przedmiot wypadł mu z dłoni. Rzucił się za nim ofiarnie i uchronił przed upadkiem.

– Przekonajmy się – mówił dalej, niezrażony. – Trzeba to dostroić do kamer. – Wyjął teraz srebrną płaskoigłę i pokręcił wewnątrz przedmiotu, po czym złożył go na powrót. – Teraz tylko umieścić u Gnata. Ale jak...? – Podrapał się w głowę.

Wiedział, że zainteresuje sprawą kolegę. Wybiegł razem z nim przed szkołę.

– Patrz, okno otwarte! – ucieszył się Robert.

– Przecież nie wrzucimy na czwarte piętro – zmartwił się Maciek.

– Ale można wejść. – Teraz Robert nie rezygnował.
– Po ścianie? Zdołasz, jakieś Bryniarski, padawanie?
– Luz! – odparł nonszalancko. – Stary mnie zabije, jak się dowie – dodał już mniej pewnie.

– Niby skąd? – Maciek podał mu swoje cacko.

Obaj wspięli się na dach sali gimnastycznej. Biegnąc po nim, czuli się jak bohaterowie popularnego dreszczowca *Ekstremum*. Pogwizdywali jego melodię przewodnią.

– Na mnie pora! – rzucił Robert tonem szpiega.

Staął na balustradzie, wskoczył na parapet, po chwili zabalansował na gzymsie. Chwycił się rynny, potem niezdyętych resztek piorunochronu. Dosięgając w ten sposób kolejnych parapetów, dotarł na czwarte piętro. Przez uchylone okno gabinetu dyrektora wcisnął w doniczkę z kaktusem wynalazek Maćka. Schodząc pilnował, by przyczepiona do niego żyłka rozkręcała się bez przeszkód.

– Teraz tylko podłączyć kamery pod holo! – Dopadł go uradowany Maciek. – Będę szukał właściwego przewodu, a ty mi dasz znać z sali, dobra? – Wydał koledze ostatnie dyspozycje.

Na parkiecie montowano właśnie węża. Część tancerzy naśladowała ruchy solisty zespołu *Szybki Start*. Nagle muzyka przycichła i strefę projekcji przeszył długi cień płaskoigły. Robert dopadł włącznika przy zlewie. Zderzył się przy tym z Sarą z czwartej „A”, niosącą tacę, na której zadrżały filiżanki. Wysłał świetlny sygnał Maćkowi i dopiero wtedy przyjrzał się dziewczynie. Ścierała kawę z twarzy.

– O rany, kretyn ze mnie! – wydukał. – Wezwę robota, to sprzątnie podłogę...

– Ej, *Master of Disaster*, lepiej zatańcz ze mną! – rzuciła, gdy próbował oczyścić jej bufiastą suknię. Była dziecięco ładna, uśmiechała się przyjaźnie.

– Moja dziewczyna się obrazi. – Rozłożył ręce ze skrucą i w tym samym momencie z ust wyrwał mu się tłumiony krzyk: „To działa, niech mnie szlag!”

Ujrzał przestrzenny obraz swojego dyrektora, który ścisnął dłoń chemiczki. Manipulacja Maćka wywołała przyciemnienie światła.

Tańczące pary przytuliły się odważniej i pewnie z tego powodu niewiele osób spoglądało w strefę projekcji.

– Pani pozwoli? – Robert porwał do tańca sekretarkę, która jako pierwsza dostrzegła zmianę obrazu. Poprowadził ją z fantazją, wzmocnioną niepokojem, ze wszystkich sił starając się, by jej obroty wypadały twarzą w stronę przeciwną do hologramu. Sekretarka wczuła się w taniec, pozwalając chłopakowi na demonstrację wrodzonego drygu. Spocił się cały, wywijając z przyciężką partnerką, zanim do sali wślizgnął się Maciek. Ten stanął pod ścianą i obserwował.

Co chwilę któryś z uczniów doznawał olśnienia, tłumiąc śmiech i nerwowo zerkając w stronę stołu, który zajmowali nauczyciele. Zdziwiony trzecioklasista z obsługi audio-holo dopadł konsoli i już miał zatrzymać muzykę, gdy ktoś dyskretnie chwycił go za rękaw. Wtedy matematyk Malicki spojrział mimochodem w strefę projekcji i znieruchomiał.

– Czyżby przemówienie dyrekcji? – zawołał wesoło.

Dyrektor z obrazu rzeczywiście wyglądał tak, jakby zwracając się do wicedyrektorki, miał też na uwadze resztę grona. Odwrócony półprofilem do sali balowej zrobił nagły zwrot w stronę chemiczki i gwałtownie przygarnął ją do siebie.

– Co to, instruktaz? – rzucił ktoś z sali, na której mało kto już tańczył.

Chemiczka na hologramie sprawiała wrażenie lekko zakłopotanej, ale jak się rychło okazało, było to złudne wrażenie. Ku zaskoczeniu uczniów wzięła czynny udział w pocałunku.

– Jak luz, to luz! – krzyknął wuefista i powstał od stołu.

Podniósł też ostentacyjnie butelkę, którą do tej pory skrzętnie ukrywał za wazonem z kwiatami i pomachał nią w stronę obrazu. Odpowiedziały mu okrzyki radości. Temperatura imprezy wzrastała. Młodzież śmiała się, klaszcząc w dłonie. Większość nauczycieli miała miny nieodgadnione. Didżej włączył nastrojowe nagranie. Robert odszukał na sali Maćka. Podeszła do nich Kaśka.

– To wasza robota? – zapytała cicho, nie spuszczając przy tym wzroku z obrazu.

Skinęli nieznacznie głowami. Chemiczka na hologramie straciła właśnie barwny szal, który wcześniej okrywał jej ramiona.

– Dalej, dalej! – Wuefista uderzał rękami w stół.

– To skandal! – powiedziała jakoś cicho plastyczka, zwana Sepią. Rozglądała się, szukając wsparcia.

– Ciekawe, jakie będą konsekwencje – szepnął Robert do kolegów, którzy byli już przy nim.

Wśluchiwał się w nastrojową muzykę, jakby nią chciał rozcieńczyć wyrzuty sumienia.

– A kto je wyciągnie, on? – Maciek wskazał dyrektora z hologramu, który składał namiętne pocałunki na szyi chemiczki.

– To powodzenia w wyciąganiu! – rzekł do obrazu Bartek. – Nam już nic nie zrobicie!

– Ale Malicki zostaje! – gryzł się Robert ponieważ.

– Wyluzuj! – skwitował Bartek. – On też się dobrze bawi.

Odszukali wzrokiem wychowawcę. Przywarł do stołu, podpierając twarz dłońmi.

– Poległ ze śmiechu! Ale się maskuje, bo Sepia boleje! – skomentował Maciek półgłosem.

Plastyczka rzeczywiście była poruszona.

– Panowie, trzeba coś zrobić! – rzuciła nad stolikiem nauczycielskim.

Szybko jednak zorientowała się, że matematyk i wuefista są niepoważni, a co gorsza, kilka pań także. Zwróciła się do geografa, który w odpowiedzi rozłożył bezradnie ręce. Miała nawet wrażenie, że wykonał gest nakłaniający ją do odsłonięcia obrazu! Tylko historyk dał się powieść nakazowi moralnemu. Podeszedł do operatorów audio-holo.

– Nie sądzicie, chłopcy, że to przesada?

– My nie mamy z tym nic wspólnego! To transmisja specjalna! – uczniowie odpowiedzieli niemal jednocześnie.

Wyłączyli muzykę, ale wizja pozostała.

– Zwijamy! – rzucił Maciek do Roberta i wyciągnął go na korytarz.

Zaraz po tym, jak widzowie ujrzeni elegancki biustonosz chemiczki – wciąż jeszcze na swoim miejscu – dało się zauważyć nagłą zmianę na twarzach obserwowanej pary. Co bystrzejsi dostrzegli

doniczkę z kaktusem, spadającą z parapetu w gabinecie dyrektora. W tym momencie obraz zniknął. Wywołało to jęk zawodu. Dalsze wypadki potoczyły się błyskawicznie. Operatorzy włączyli pierwsze lepsze nagranie. Okazało się, że to przerwany walc, i na dodatek od początku! W chwili, gdy na ścianie błysnął zarys płaskoigły, młodzież wyjątkowo gorliwie ruszyła w tany. Nawet ci, którzy nie mieli pojęcia o tym klasycznym tańcu, usiłowali zdziałać coś na parkiecie.

Na salę weszła chemiczka, a chwilę później dyrektor. Ten zawołał od progu:

– Ach, jak wszyscy pięknie tańczą walca! Szkoła przechowuje tradycje!

I, unikając wzroku Retorty, skłonił się przed sekretarką.

Niedługo później okazało się, że wuefista musi już wyjść do domu, gdyż, jak mówili złośliwi, rzucił się na niego parkiet. Odprowadzany przez geografa i fizyka, zapomniał zamknąć kantorek. Zauważył to Adam z czwartej „C” i zebrał obecnych jeszcze kolegów. Udali się do pomieszczenia wuefisty. Adam wysunął półlitrowkę spod marynarki. Jakby na ten znak dobiły tu dziewczyny. Najżywiej zareagowała Magda, która przestała niedawno bredzić o kosmitach, za to coraz lepiej odnajdywała się na imprezach.

– Walimy z centrali? – rzuciła bez wstępów i dołączyła do pijących alkohol wprost z butelki.

Wypiła także Kamila i podniosła w górę opróżnioną półlitrowkę. Wtedy Adam zawołał:

– Zagrajmy tą butelką! To też wiekowa tradycja!

• • •

Katarzyna odnalazła rozbawionych absolwentów w momencie, gdy wyzywająco roześmiana Kamila trafiła do wnętrza kręgu. Rozkręcona butelka zatrzymała się szyjką w kierunku Roberta. Ten podniósł się niepewnie i, położywszy urodziwej koleżance dłonie na ramionach, cmoknął ją w usta.

Adam, który robił tu za wieszacza, skomentował to opuszczeniem kciuka w dół. Kamila westchnęła, nie ukrywając zawodu.

– To miał być pocałunek? – Przeciągnęła się, unosząc dłońmi włosy. – Poprawka!

Chłopak pochwycił w ramiona obiekt erotycznych westchnień niemal wszystkich klasowych kolegów. Tym razem sumiennie wykonał polecenie, przywierając na długo do ust wstawionej koleżanki.

– Brawo! – ryknęli kibice.

– No, szacun, kolego! – podsumowała ze śmiechem Kamila.

– Świnie! – zawołała stojąca w drzwiach Kaśka.

Robert uchwycił utkwione w sobie spojrzenie dziewczyny.

– Kasiu, to żarty – zdążył wyjąkać, zanim jej oczy wypełniły się łzami.

– Zjeżdżaj, gnoju! – rzuciła słabym głosem i wybiegła z budynku.

Robert ruszył za nią, ale równie nawalony Maciek powstrzymał go słowami:

– Zostaw, na razie to na nic.

– Jakaś miągwa z tej twojej kobiety – wymamrotała Kamila, jakby zadziwiona całą sceną.

– Nikt w historii tej gry nie zrobił takiej afery! – skwitował z przekonaniem Adam.

Uwierzyli mu – w końcu wybierał się na historię.

• • •

Kaśka wypadła na podwórze – tej nocy mroczne jak nigdy przedtem, mimo widocznego księżyca w kwadrze. Usiadła skulona pod drzewem. Opanowała ją mdląca słabość. Dalekie szczyty gór zasnuły grząską mgłą, a dąb szeleścił złowieszczo nad jej głową. Wzdrygnęła się. Wtedy dostrzegła Bartka, który odszukał ją tu pewnie w ramach kumpelskiego przymierza z Robertem. Podszedł i milczał. Patrzył tylko pytającym wzrokiem.

– Głowa mnie boli – poskarżyła się, przykładając obie dłonie do czoła. – O rany! Coś mi pulsuje pod czaszką w dzikim tempie! – mówiła coraz bardziej przestraszona.

Bartek wysłał gdzieś esemesa. Odebrał odpowiedź i wysłał kolejnego. A potem, zaskoczony chyba tak jawnie okazanym lękiem,

postanowił odprowadzić Kaśkę leśnym skrótem do domu. Widząc jej drżenie przy każdym trasku gałęzi, sam poczuł się niepewnie. Jak nigdy dotąd w rodzinnej osadzie.

CO WYKAZAŁY BADANIA?

Nazajutrz Katarzyna nie przyszła do szkoły. Robert usiłował się do niej dodzwonić, ale za każdym razem przerywała połączenie. Nagrał kilka zdań na pocztę. Nie doczekał się odpowiedzi. Następnego dnia stanął przed jej drzwiami, celowo omijając kamerę domofonu przy wejściu do budynku, by się za wcześniej nie pokazać. Otworzyła matka dziewczyny, która niedawno skłęła go za biwak. Odesłała robota, dziś chaotycznie dryfującego po mieszkaniu.

– Kasia nie chce teraz z nikim rozmawiać – oznajmiła cierpko. – Ostatnio miewa silne bóle głowy i jakieś zaburzenia świadomości. Mamy skierowanie na badania.

Kaśka nie chciała się widzieć z Robertem również przez kilka kolejnych dni.

W przeddzień wyjazdu na egzaminy wstępne przyszedł jeszcze raz. Pani Głębocka, niespełna czterdziestoletnia i wciąż atrakcyjna kobieta, otwierając drzwi poprawiła w roztargnieniu niedopiętą podomkę. Robert pierwszy raz widział ją w niekompletnym stroju i bez makijażu.

– Kasia jest na badaniach w klinice – poinformowała słabym głosem. – Podejrzewają guza mózgu.

Zachwiał się jak uderzony między oczy. Zaraz jednak przypomniał sobie wypadek w lesie. Z jakiegoś powodu sądził, że wszystko nienormalne tam się zaczęło, i o ile do tej pory ciążyło mu to nieprzyjemnie na sumieniu, o tyle w obliczu obecnego podejrzenia wydało się bezpiecznym rozwiązaniem.

– Nie, to nie może być guz – rzekł niemal pewnym tonem. – Kaśka ponad miesiąc temu upadła i straciła przytomność. I może tego skutki...

– Znowu przez ciebie upadła! – Pani Głębocka spojrzała na niego z wyrzutem. – Ona będzie po południu. – Chyba przemyślała jego słowa i w jej oczach błysnęła nadzieja.

Robert zjawił się przed wieczorem z wielkim bukietem fiołków. Kaśka uśmiechnęła się blado na jego widok i wprowadziła go do swojego pokoju. Wyszczupiała nieco, a rysy jej twarzy się wyostrzyły. Miał wrażenie, że wydorosłała w ostatnich dniach.

– Wybacz – szepnął, pełen skruchy.

– Nie mówmy teraz o tym – odrzekła beznamyślnie i przeszła się wśród znanych mu, bezużytecznych, ale słodkich bibelotów.

– Więc pomówmy o twoim zdrowiu. – Śledząc ją wzrokiem, uciekł nim w końcu do aniołków na półce za jej plecami. *Znów to drgnienie jej głowy!* – Co wykazały badania?

– Guza nie wykryto, ale jest coś w encefalogramie – odparła. – Chcą mi nawiercać czaszkę. Mówią, że tylko dla sprawdzenia...

– I pewnie tak jest – przerwał jej rzeczowo, ale pokój zakołysał mu się w oczach.

Szybko zmienił temat. Spędzili kilka pozornie beztroskich godzin. Kaśka śmiała się życzliwie z jego kleconych naprędce żartów. Wyszedł od niej po zmierzchu. Zapomniał włączyć światło i uruchomić schody. Gdy podchodził do bramy ogrodzenia, coś upadło za jego plecami. Odwrócił się zaskoczony. Na trawniku leżał bukiet fiołków.

SZLAK POZA KOLEJNOŚCIĄ * PILNE! * KIERUNEK MAHABOR III

DO KORYFERA TRAGUERI

Podaj wszystkie ustalenia na temat wibracji globu. Zależy mi na szerokim potraktowaniu sprawy. Użyj trybu zwykłego poza raportowym.

Koordynator FOLMATHO

ZMYSŁOWE POŻEGNANIE

Tram sunął cicho przez miasto po magnetycznym szlaku, nim wyhamował miękko tuż przed przystankiem. Malicki wsiadł do wagonu i skinął głową komuś, kto pozdrawiał go z tylnego siedzenia.

Odwracając myśli od rozstania z żoną, zastanawiał się, jaki procent energii udaje się pozyskać dzięki hamowaniu pojazdów, kursujących po magnetliniach prawie bez tarcia. Nie tylko tramwajów, lecz także pociągów i samochodów. W Trójoazie jak zwykle trzeba było poczekać na pełną adaptację nowinek technicznych...

Dzień, chociaż letni, był zimny i tonął w deszczu. Nauczyciel chciał usiąść na zwolnionym właśnie miejscu, gdy obraz za szybą przykuł jego uwagę. Na moście stała dziewczyna. Jej postać od razu wydała mu się znajoma. Zwróciła na chwilę twarz w stronę przejeżdżającego pojazdu.

Głębocka z trzeciej „C”, zarejestrował.

Tram zaczął przyśpieszać. Malicki odwrócił głowę od szyby, jednak obraz sprzed chwili zawierał coś, co nie dawało mu spokoju. *Co u licha...* Nagle uświadomił sobie i poczuł zimny dreszcz: dziewczyna stała za balustradą. W eleganckiej sukience, bez parasola czy peleyriny... Szybko spojrzał w tamtą stronę – już jej nie było.

– Jeszcze tego brakowało! – warknął pod nosem i rzucił się w stronę drzwi. Niemal roztrzaskał przycisk: „Użyć w razie awarii”. Zanim wyskoczył, usłyszał obelgi pasażerów.

Przebiegł jezdnię, potem skwer. Ześlizgnął się po nasypie wraz z osypującym się żwirem, zrzucał szybko buty i wskoczył do rzeki. Dziewczyna wypłynęła spod wody i walczyła z prądem. Ale niósł ją na tamę. Nauczyciel dobił do niej wolniej niż się spodziewał. Zdołał zagarnąć ją od tyłu wyuczonym kiedyś chwytem ratowniczym. Na szczęście zamarła posłusznie. Z wysiłkiem doholował ją do brzegu.

Wtedy znów ożyła. Wyszła z wody o własnych siłach, choć słała się na nogach. Osunęła się na nadrzeczny piach, oddychając ciężko.

Malicki wspiął się po nasypie do poziomu bulwaru. Mokry, z trudem zatrzymał taksówkę. Wrócił do dziewczyny. Nie próbowała się nawet podnieść. Pochylił się nad nią. Jej puste spojrzenie wyrażało rezygnację. Chwycił ją pod ramię i pomógł wstać. Powoli otrzepała sukienkę ze szlamu. Nie znalazła butów i torby – najwyraźniej utonęły.

– Idziemy! – rzekł stanowczo i poprowadził ją do ustawionej przy bulwarze taksówki.

Pomyślał, że chyba powinien ją odwieźć na jakiś oddział. Gdy próbował podać kierowcy nazwę szpitala, spojrzała mu błagalnie w oczy i wyszeptala: „Proszę, nie!”.

Skruszyła go tym gestem. Na wzmiankę o rodzicach potrząsnęła przecząco głową. Zdecydował, że rozsądniej będzie najpierw się wysuszyć. W milczeniu dojechali pod jego blok na Zielonym Trapezie. Bez słowa dotarli windą na czwarte piętro, zostawiając w niej kałużę. Na szczęście nikogo nie spotkali. Malicki otworzył mieszkanie. Dziewczyna nie podniosła nawet na niego wzroku, zanim zniknęła w łazience.

– Weź coś do ubrania z szafki – rzucił przez drzwi, zanim włączyła prysznic.

Wyszła po jakimś czasie w gustownym, białym dresie, pozostawionym przez jego żonę. Rozejrzała się po pokoju mało przytomnym wzrokiem. Malicki wręczył jej ciepłe kapcie – swoje, bo butów Agnieszki już nie znalazł. Zdążył się przebrać w trekkingowe spodnie i ciepłą bluzę. W międzyczasie nierzucający się w oczy robot zaparzył herbatę i postawił ją na stole w imbryku. Malicki wyjął z barku butelkę z brązowym płynem. Wlał go wraz z herbatą do dwu filiżanek, zdobiących wcześniej witrynę kredensu.

– Wypij, rozgrzejesz się. – Postawił przed nią jak kufel piwa porcelanowe cacko z japońskimi malowidłami.

Kaśka usiadła na kanapie i wtuliła się w mięciutki dres.

Czy szykowna pani Malicka też tu przyjdzie?, rozważała, obserwując ukradkiem gospodarza.

– Alkohol? – zapytała cicho, upijając łyk.

Poczuła gorąco, rozlewające się w brzuchu.

– Koniak – wyjaśnił. – Teraz dobrze ci zrobi. – Uśmiechnął się nieznacznie.

Ściągnął pilotem z segmentu szufladę ze skarpetami i podał jej jedną parę.

Niektórym faktycznie dobrze to robi, pomyślała, wspominając bal, i dopiła zawartość filiżanki.

– Przepraszam, że zabieram panu czas – wyjąkała. – Już idę. – Spojrzała w stronę łazienki, w której zostawiła mokrą sukienkę wraz z bielizną.

– Zaraz. Powiedz najpierw, co się stało!

Na twarzy dziewczyny odmalowała się niechęć. I słabo skrywany lęk. Ściągnęła brwi, wstrzymując płacz.

– A czemu mam to panu opowiadać? Nie jest pan moim ojcem ani nawet wychowawcą.

Jej modre oczy jednak zaciągnęły się łzami.

– Należy mi się chyba odrobina szczerości po tym, co zrobiłem. – Głos Malickiego nadal był serdeczny.

– Nikt pana o to nie prosił! – rzuciła ze złością. – Już byłoby po wszystkim!

– Widziałem, jak walczyłaś o życie – odrzekł spokojnie. – Uratowałaś się sama.

– Nie. Walczyłam, bo to instynkt. Wiedziałam, że tak będzie. Ale nie miałam już sił. Jeszcze kilka minut... Po jaką cholerę pan to zrobił?!

Malicki wciąż starał się panować nad sobą.

– Jeśli tak bardzo pokrzyżowałem ci plany, to przepraszam – odparł beznamiętnym tonem.

Spojrzała mu w oczy. Nie było w nich poprzedniego ciepła, tylko głęboka powaga. Jego głos też zrobił się szorstki. Wcześniej by sobie nie pozwoliła na histerię wobec nauczyciela, ale teraz...

– Nie chciałam pana obrazić – westchnęła i otarła oczy rękawem. – Pan się poświęcił, a ja mam pretensje... – Nie mogła już mówić. Szlochając, rzuciła się na kanapę.

Malicki podszedł do niej i odgarnął włosy z jej zapłakanej twarzy.

– Słuchaj... Kasiu. – Odszukał w pamięci jej imię. Mile zaskoczyło ją to, że pamięta. – Ja nie pytam dla taniej sensacji. Może mógłbym pomóc?

Usiadła, krzyżując nogi, i potrząsnęła przecząco głową.

– Robert bywał tu nieraz i często mówił o tobie. – Malicki obserwował dziewczynę, która teraz zastygła. Przełknęła głośno ślinę

przez zaciśnięte gardło. – Pewnie pokłóciliście się o jakieś głupstwo. Wróci z tych swoich egzaminów...

– Już nie ma po co! – przerwała z naciskiem, a jej oczy znów błysnęły gniewem. – Są sprawy, których nie potrafię wybaczyć. A on jest nieodpowiedzialny!

– A kto z nas tak naprawdę jest?! – zripostował Malicki, jakby osobiście poruszony. – Dojrzewamy całe życie, a wy dopiero w nie wkraczacie – dodał, opanowując emocje z dostrzegalnym wysiłkiem.

Wbiła w niego wzrok. Ta jego bliska relacja z Robertem wydała jej się nagle podejrzana.

– Robert bywa szalony – odezwał się znowu nauczyciel. – Ale potrafi się na czas opamiętać. To fajny chłopak.

– Dlaczego pan go tak broni? – rzuciła w pomieszczeniu.

– Bo nie wierzę, że zrobił coś strasznego. – Malicki odzyskał spokojny ton głosu.

– Nie, skądże. – Wzruszyła ramionami. – Tylko wyrzekł się mnie... Jak kiedyś ojciec, gdy matka zaszła w ciążę. – Opuściła sobie dbałość o wizerunek. *Jaka ulga na koniec!* – Dla facetów jestem bez wartości – podsumowała.

Malickiego zdziwił rozmiar spustoszeń, jakich może dokonać rozstanie nastolatków.

Czy tylko ono?, nie umiał nazwać dziwnego uczucia, które towarzyszyło mu dziś przy dziewczynie.

– Zbyttna ekstrapolacja! – skomentował życzliwie. – Co do Roberta, to chyba nie zrobił...

– Ja nie jestem z nim w ciąży! – przerwała. – Ale swoją bezmyślną zdradą przekreślił wszystko!

– A ty mu nie wybaczysz? – Malickiemu powróciła złość na żonę. – Jaką masz pewność, że sama nigdy nie zboczysz z przemyslanej ścieżki? – dodał z niechcianą ironią.

Dostrzegł, że oczy dziewczyny, poprzednio pełne złości i pogardy, znów wypełniają się strachem.

– Akurat całkiem dużą – odrzekła. – Niewiele czasu mi zostało – mówiła powoli, patrząc w sufit. Potem, w odpowiedzi na nieme pytanie nauczyciela, dodała:

– Jestem chora.

– Co to takiego?

– Chyba najgorsze, co może być – krtań odmówiła jej posłuszeństwa. – Rak mózgu – wykrztusiła wreszcie, łapiąc oddech. Miała wrażenie, że to wyznanie ją upokorzyło, że nagle stała się upośledzona. *Dlaczego?!* , pytanie załomotało wściekle w głowie i rozniosło się echem po wszystkich tkankach.

Malicki bezwiednie wstrzymał oddech. Patrzył, nie dowierzając, na drżące ciało uczennicy. *Rany, taka młoda*, pomyślał, a głośno zapytał:

– Czy to stwierdzili lekarze?

– Nie wykryli jeszcze guza. Ale mam skierowanie do kliniki na zabieg.

– Czyli nic w zasadzie nie wiadomo – skwitował.

– Ale objawy się zgadzają – zripostowała.

Malicki odetchnął z ulgą i uśmiechnął się mimo woli.

– Pan mi nie wierzy – rzuciła z rezygnacją, widząc, że rozmówca bagatelizuje jej lęk. – Jasne, bo trudno uwierzyć. I ma mnie pan za... psychicznie niezrównoważoną po tym skoku. Ale ja wiem. Wystarczy zauważyć, jak patrzą na ciebie lekarze. Oni myślą, że tego nie widać, śmieszne... Te ich uroczyste miny, powaga i współczucie. Bo im się zdaje, że wiedzą, co ja czuję. Ale przecież nie mogą wiedzieć, nie! – krzyczała już prawie. – Bo przez to trzeba przejść, żeby wiedzieć! Nie wystarczy sobie wyobrazić. A oni dają mi rady, polecenia. Wymagają ode mnie w imię mojego dobra. Tak jakby stali się nagle panami mojego życia. Ale oni wychodzą sobie z tej kliniki do swoich spokojnych domów. Czasem może pogadają o przypadkach. A ten przypadek zostaje... ze swoim przypadkiem. – Zamilkła na chwilę. – Chcą mi zrobić kraniotomię – dodała rzeczowym tonem. – I to nie zwykły nawiert, ani jakiś tam wycinek kości, ale taki kawał. – Powiodła dłonią po czole. – By znaleźć coś, czego nie widzą przyrządy. Komu teraz robią kraniotomię?! – niemal się zachłysnęła.

Malicki usiadł na kanapie obok Kaśki. Chwycił ją za obie dłonie i spojrzał w jej zapłakane oczy. Bardzo chciał przekazać jej coś, w co sam próbował uwierzyć.

– Poznałem część twoich nietypowych pomysłów – powiedział. – Wydają się ciekawe. Niektóre wręcz odkrywcze. A przecież choroba mózgu, jakakolwiek by nie była, powinna wiązać się z jego degeneracją, czyż nie? A twój mózg jest coraz lepszy. Jestem pewien, że jesteś zdrowa.

– Medycyna jest innego zdania – wtrąciła.

– E tam, nie ma wciąż rozpoznania. A co z nieznanymi przypadkami? Niech ci lepiej sprawdzą IQ. – Nie kłamał, naprawdę tak myślał.

– Tak pan mówi, że prawie uwierzyłam – westchnęła i uśmiechnęła się lekko.

– A ty już zrezygnowałaś z życia? – Zmarszczył brwi. – To za twój powrót! – Podniósł filiżankę.

– Ale moja jest już pusta! – Kaśka chwyciła butelkę i sama dołała sobie koniaku.

Wypiła jednym haustem i zakrztusiła się. Otarła oczy rękawem, kolejny raz ignorując wrażenie, jakie teraz robi.

– Oby pan miał rację – powiedziała po namyśle. – A co do powrotów – dodała prawie wesoło – to chyba powinnam już wracać... Ale mam zawrót głowy – roześmiała się. – No to już się zbieram, zanim to przestanie działać, albo... – przerwała.

– Chyba powinnaś poczekać, aż przestanie – rzucił bez przekonania.

– A ja właśnie chciałam sobie znowu nalać, tylko... pod warunkiem, że pan wypije ze mną. – Zbudowana jego niepewnością dołała koniaku do jego filiżanki. Nie oponował.

– Dlaczego to robisz? – zapytał, zaskoczony nagłą zmianą w zachowaniu dziewczyny.

– Bo mam ochotę się upić, a nie chcę, żeby pan patrzył na mnie krytycznym okiem. – Spojrzała niepewnie na nauczyciela i, znów onieśmielona, zapytała:

– Przesadziłam? Już idę... Ale dobrze mi się zrobiło... Wie pan, chyba pierwszy raz od dwóch tygodni przestałam się bać... na chwilę.

– Na jaką chwilę?! – Zdobył się na surowy ton. – Widzę, że gdy trzeźwiejesz, zaczynasz mówić od rzeczy. Gdzie mieszkasz?

– Na Wtórnej pięć.

– Och! Stąd to będą jakieś... dwa mosty, do trzech, jeśli krzywo skęcisz, i jeden wiadukt!

– No wie pan?! – udała oburzenie.

Patrzyła teraz śmiało w oczy matematyka. Przystojny w męski sposób, wiek około trzydziestu pięciu, z poczuciem humoru. Wiedziała, że to fajny facet. Przed chwilą posadziła go o świństwa, ale naprawdę zawsze zazdrościła jego wychowankom zażyłości z nim.

– Ale uprzedzam, że nie będę cię teraz śledził, bo się ściemniło i woda zimna – dodał i przecesał dłonią jeszcze wilgotne, ciemne włosy.

– Gdyby pan nie był moim nauczycielem! – Ściągnęła brwi, ale roześmiała się oczami.

– To pewnie nie miałbym wyrzutów, że piję z tobą alkohol. – Jego zwykle wesołe, piwne oczy, mimo żartów zdradzały konfuzję. – Wezwę ci taksówkę... albo... zostań dziś lepiej u mnie.

Wyobraził sobie, co pomyśli matka, gdy odstawi córkę nietrzeźwą do domu. Lepiej porozmawiać z nią jutro... I dać nocleg uczniacy...? W końcu Robert też tu czasem nocował, a zajęty do późna ojciec był wdzięczny... Nauczyciel dostrzegł, że Kaśce spodobał się pomysł pozostania.

– Pójdę zamówić coś do jedzenia, a ty uspokój swoich domowników – dodał.

Kiedy po kwadransie wrócił z czterema porcjami enchilady na dużym talerzu, Kaśka zatarła ręce i napełniła filiżanki. Gdy skarcił ją, że piła w międzyczasie, zrobiła niewinną minę – tę z dołkami w policzkach. Potem udała skrucę, że pokrzyżowała mu plany, a on odpowiedział, że nie były dość ważne. Ale nalegał, by rozmówiła się z domem.

– Utonęła mi torba – przypomniła mu. – Razem z komórką. Pożycz mi pan swój telefon?

– Jasne. – Podał jej aparat.

Usłyszał po chwili, jak tłumaczy matce, że zostaje u koleżanki na imprezie. I że jej komórka wpadła przypadkowo do rzeki.

– Dlaczego nakłamałaś? – skarcił ją, gdy skończyła.

– A co miałam powiedzieć? Że próbowałam się zabić? – wyrzuciła z siebie. – Mama ucieszyła się, że się rozerwę po ostatnich dniach. Ona wierzy, że umieram, nie tak jak pan!

Rozłożyła go ostatnim zdaniem. Chciał skończyć z tym umiarem. Gdy znów wypełniała filiżanki, odebrał jej butelkę. Wlał sobie znacznie więcej – głównie dlatego, żeby ona piła mniej.

• • •

Podczas kolacji Kaśka wypytała Malickiego o dni ciemności, które wciąż ją intrygowały. Nie bardzo chciał wracać do dawnych dziejów. Ale zdradził, że mieszkał wtedy z rodziną i sąsiadami w skrzydle szkoły na wsi. Jeden uspokajał drugiego. Jego, dzieciaka, nawet ta ciemność ekscytowała. Bo wcześniej starsi koledzy gasili światło w szkolnych korytarzach i bawili się w duchy, skradając się po omacku. Urwał opowieść, gdy Kaśka zaczęła ukradkiem nakłaniać robota do napełnienia filiżanek kolejny raz. Robot ją zignorował, więc próbowała zrobić to sama, mamrocząc pod nosem regułkę z e-poradnika: „roboty gospodarcze służą głównie do prac powtarzalnych, nużących, otepiających lub przeciążających człowieka”.

– Wystarczy! – Malicki stanowczym ruchem zatrzymał jej rękę z butelką. – Jesteś już pijana. Jutro będziesz cierpieć.

– Kto by się martwił jutrem?! – skwitowała, przekomarzając się z tym bezpłciowym robotem, który, niestety, słuchał tylko gospodarza. – A pan jest trzeźwy? – Znów odczuła zawrót głowy, tym razem przyjemny.

– Zadbaj, żebym nie był. – Nie miał pewności, dokąd zmierza ta terapia. – Tu będziesz spać. – Wprawnym ruchem rozłożył kanapę. – Jest chyba jeszcze jeden świeży komplet. – Sprowadził pilotem półkę z podsufitowego schowka.

Podał dziewczynie jednorazową pościel firmy „Komfort”. Faktycznie wyglądała na komfortowo miękką, a zarazem wykrochmaloną. Technika z ekologią pod rękę.

– Po co tyle zachodu? – Kaśka udała zażenowanie. – Ale podoba mi się ta pana opieka – zaśmiała się rozkosznie.

Malicki wyszedł na chwilę. Gdy wrócił, stała przed lustrem w niebieskiej, krótkiej koszulce, słabo zasłaniającej ciało. *Kolejna rzecz, której zapomniała Agnieszka...*

– To żony? – Kaśka wskazała na swoje odzienie. – Wybacz pan, sama wyjęłam z półki. – Przesunęła wzrokiem po stylowym fotopanelu na ścianie, z pewnością pomysłu jego połowicy. – Ona tu dziś nie przyjdzie, prawda? – zasepleniła, co skwitowała chichotem.

Nie doczekała się odpowiedzi. *Ale w szkole gadali, że on się rozwoził...*, jej myśli były sprawniejsze niż język. Uchwyciła najpierw ślad irytacji na twarzy gospodarza, a potem zainteresowanie w jego spojrzeniu. Znów roześmiała się bez troski.

– Czy ten Robert aby dobrze się namyślił? – rzucił Malicki w powietrze. – Jesteś bardzo ładna.

– Ale niedostępna! – odparła z nagłym gniewem i przysłoniła się drzwiami szafy, jakby dopiero teraz dostrzegła, że koszula jest prawie przezroczysta. – Bo gdyby mnie miał, rzuciłby mnie jak szmatę! – Wykrzywiła twarz w grymasie. – Patrząc, jak zdycham! – Jej głos nabrzmiał bólem, przemieszonym z pogardą.

Malicki przyjrzał się jej, zaskoczony. Wolał widzieć w tej scenie jej aktorski talent, niż dewiację.

– Ofelio, na Boga! Za dużo melodramatów! – zawołał. – To był żart, prawda? – dodał z nadzieją, a jej twarz się rozluźniła. – Wchodź już do łóżka! Zgasz światło. Albo ty weź pilota!

– Chce pan już iść? – Nadała twarzy wyraz dziecięcego smutku. Sama zdziwiona była swoim wybuchem sprzed chwili. Ale czuła się jakby źzej...

– Księżniczka ma jeszcze jakieś życzenie? – Malicki skierował pilota ku lampie.

Powstrzymała jego dłoń.

– A gdyby tak mi pan opowiedział bajkę na dobranoc? – rzekła tonem przedszkolaka.

– Dziecko drogie, o co ci chodzi?! – zapytał, choć już wiedział. – Dobra, coś ci opowiem. Tylko wejdź pod cholerną kołdrę! – Czuł, że ta jej gra coś w nim porusza. Coś niepokojącego.

Doszła do kanapy posuwistym krokiem i przykryła się kołdrą po szyję. Malicki usiadł na ruchomym fotelu przy jej pośladku. Światło rozlało się refleksami po suficie, nim przygasło.

– Dawno temu... w odległej galaktyce... żyła dziewczyna, która sądziła, że nigdy nie popełni błędu – zaczął.

Jego głos zabrzmiał w uszach Kaśki rzeczowo jak na lekcji. Parknęła śmiechem.

Malicki też się zaśmiał. Uświadomił sobie, że nawet w głupiej bajce chce czegoś dowieść byleż żonie. A obok leży kolejna fanatyczka odpowiedzialności. *W teorii oczywiście!*

– Wyobrażałam sobie, że pan powie: „w danym punkcie funkcja osiąga ekstremum” – zaszczebiotała słodko Kaśka jak wcielenie niewinności. – I co dalej w tej bajce? – nie rezygnowała.

Wiedział, do czego ona zmierza. I że piła po to, by mieć później na co zważyć. *Na cholerę ta hipokryzja?*, pomyślał. *Nie lepiej nazywać rzeczy po imieniu...? Ale to przecież jeszcze dzieciak*, zdjęło go poczucie winy. *Dorośli są od niej lepsi tylko w stwarzaniu pozorów...*

– Posuń się – powiedział.

Rozbawiło go, jak szybko zrobiła mu miejsce. Położył się w ubraniu obok niej.

– No i co dalej? – rzekła niemal triumfalnie, jakby rzeczy szły we właściwym kierunku.

– Jeśli wspomnisz jeszcze o bajce, wychodzę! Dość tej gry!

– Nie wspomnę – obiecała skwapliwie. – Nie wychodź! – Przyłgnęła do niego. – Zostań, proszę!

Malicki miał wrażenie, że jakiś nurt płynie tu poza jego kontrolą. Wiedział, że powinien wyjść, choć ją tym zrani. Wiedział, że robi jej teraz za bohatera, który wyrwał ją falom, i że ona szuka namiastki ojca, którego nie miała. Ale tuliła się do niego wcale nie jak dziecko, bo wokół aż kipiało od pobudzenia. Gdy zetknęła głowę z jego głową,

złapał myśl jak czyjaś prośbę: „Daj jej to, czego pragnie, może wybierze życie”... *Omamy po takiej dawce?!*, nie mógł uwierzyć.

– Tylko nie mów, że nie wiesz, co robisz – powiedział ciepłej, choć w jej uszach zabrzmiało to zbyt szczerze. – „Są sprawy, których nie potrafię wybaczyć!” – zacytował ją bez litości.

Spojrzała mu w oczy, które płonęły teraz surowym blaskiem. Chciała się wytłumaczyć z tego cytatu, tylko, że właśnie łamała zakaz większy chyba niż Robert. Choć cholera wie, bo Malicki był wolny i ona też... Wreszcie ją pocałował! Zniewalająco! Chwila zmieszania nie znaczyła nic wobec gorąca, które rozlało się w jej ciele. Sama podała usta po raz drugi i trzeci...

– Chcesz powiedzieć jeszcze coś o odpowiedzialności? – zapytał, nie kryjąc ironii, która, choć nie na miejscu, niestety trafiała w punkt.

– Już nic nie wiem! – odpowiedziała szeptem.

Nawet nie chciała wiedzieć, choć słaby głos rozsądku nawoływał do porządku. Niechby zamilkł na zawsze! Poczuła ciepłe dłonie na swoich piersiach. Ta koszulka tak łatwo się rozwiązywała... Wirowało jej w głowie. Dlaczego miałyby to przerwać? Kontury dawnych myśli zaczęły nagle tracić ostrość. Cóż to jest zło i czy było ono w tej fascynującej bliskości nagich ciał...? Przestała dociekać i poddała się swoim zmysłom.

Rozdział 2

EGZAMIN DOJRZAŁOŚCI

SZLAK OGÓLNY * KIERUNEK ULDRI – STOŻEK URAHO

Koryfer TRAGUERI do koordynatora FOLMATHO

Zdaję sobie sprawę z wrażenia sprzeczności, jakie mogły wywołać moje raporty. Sprawa wibracji planety jest zaskakująco złożona.

Tuż po wylądowaniu zrobiliśmy wstępną analizę widma Mahabor III. Średnia wypadła znacznie poniżej umownej, więc zgodnie z dyrektywą Federacji nie powinniśmy próbować kontaktu. Ale raporty Cothleya mówiły, że on go zainicjował! I przecież donosił o tym z entuzjazmem! Ufając jego doświadczeniu, próbowaliśmy teleprzekazu w skupiskach istot z naczelnego gatunku. Efektem był całkowity blok z ich strony. Odrzucali docierające informacje jako nonsensowne, a nawet wzbudzające trwogę. Udało nam się interpretować wibracje typu: „jestem za słaby”, „nie mogę”, „za trudne”, „to nie dla mnie”. Czyli to co u nas w kontaktach z dolnymi gałęziami zoosfery nazywamy kompleksem wariacyjnym. Wiem, że

tego właśnie należało się spodziewać poniżej mantum, ale wciąż zastanawiało mnie, co Cothleya zafascynowało w tej planecie.

Wertowałem jego raporty, z których wynikało, że istnieją tu źródła wysokich frekwencji. I chyba je odkryliśmy. Nie są to źródła stałe, ani co do miejsca, ani natężenia, ale tubylcy potrafią osiągać górę naszej skali! Tyle że występuje tu ogromna różnorodność wśród osobników. Wielu wykazuje wibracje wręcz okołośmiertelne, choć chwilami potrafi przeskoczyć naszą średnią! Zdaję sobie sprawę zarówno z pozorów absurdu, jak i z wagi tego odkrycia. U nas taka koegzystencja wydaje się niemożliwa. Cothley, jak wiadomo, ma superintuicję. Tylko z kim on próbował kontaktu?

Według najbardziej logicznej hipotezy wybrał miejsce o wibracjach najbliższych naszym. I wiecie, na co trafiliśmy dzięki pomiarom? Na trzy szkoły badań kosmicznych na tym globie. Jednak w żadnej z nich nie ruszył teleprzekaz. Jak Cothleyowi udało się z nimi porozumieć? Wciąż wierzę w jego wyczucie i kontynuuję poszukiwania.

Zajęcie się szkołami gwiazdnymi dało jeden pozytywny skutek. Odnaleźliśmy bardzo dogodnie położony w systemie Mahabor ich wspólny superkomputer, nad którym pracujemy. Nie chcę się jednak o tym rozwdzić bez specjalnego polecenia.

TRAGUERI

ŚMIERTELNY ZAMĘT

Kiedy Robert wrócił z egzaminów, pierwsze kroki skierował do kliniki. Wjeżdżając szpitalnymi schodami, starał się panować nad wewnętrznym drżeniem. Celowo ominął windy, które tutaj kojarzyły mu się źle. Potem te smutne korytarze, sale i łóżka... choć wszystko bajecznie urządzone. Schludne pielęgniarki w różowych uniformach z przyklepionym do twarzy uśmiechem, subtelna muzyka z szeleszczącym strumieniem w tle, kwiaty, owoce i rajski ogród w holostrefie... A jednak coś tu nie współgrało, coś wyrzucało z tego edenu. Czy pełzający pod ścianami lęk, ze źródłem przy tabliczce „Onkologia” na

drzwiach oddziału? Czy ci pacjenci, którzy jakoś nie chcieli założyć różowych okularów...? *Klinika zatrzymuje tylko przypadki oporne na terapię*, przypomniał sobie.

Katarzyna siedziała zamyślona na łóżku w niewielkiej, jasnej sali. Nie pracował tu żaden sprzęt medyczny, pobłykiwał tylko terminal komputera. Na stoliku stał wazonie bukiet kwiatów – o dziwo róż, nie wszechobecnych tu margarytek. Dziewczyna uśmiechnęła się do gościa i zapytała:

– Jak egzaminy?

– Dobrze. A co u ciebie?

– Nieciekawie... Czemu jesteś taki błądy? – zirytowała się nieco. – Ci, co tu przychodzą, zachowują się jak przed pogrzebem! Nawet Malicki.

– Malicki tu był? – zdziwił się Robert.

– Jak wszyscy zatroskani moim zdrowiem – odrzekła. – Był przekonany, że nic mi nie jest. Ale ja miałam rację.

Robert pomyślał, że sprawa nabrała powagi, skoro zaczęły się wizyty ze szkoły.

– A co ci właściwie jest? – Nie opanował drżenia głosu.

Wzruszyła ramionami.

– Coraz częściej tracę świadomość i na coraz dłużej – powiedziała. – Za którymś razem pewnie nie ocknę się wcale. Lekarze nabrali wody w usta... Boję się! – Kurczowo ścisnęła jego dłoń.

Usiadł obok niej na łóżku i przygarnął ją na długą chwilę.

– Spróbuję się czegoś dowiedzieć – rzekł w końcu i wyszedł z sali.

Odnalazł znajomego stażystę, Oskara. Stał wśród zagadanych kolegów, całych w bieli i ze stetoskopami – świeżo nabytymi insygniami lekarskiego autorytetu. Widząc dawnego kumpla od żagli, Oskar przerwał naradę i podszedł do niego.

– Co z Katarzyną Głębocką ze sto dwunastki? – Robert starał się nadać pytaniu naturalny ton.

– Ta ładniutka blondynka? – przypomniał sobie młody lekarz. – Takich informacji udzielamy tylko rodzinie. – Rozłożył ręce.

– Ale ona sama ma chyba prawo wiedzieć! – nie rezygnował Robert.

Oskar podjął się reprezentacji własnej grupy zawodowej.

– Słuchaj, jej się tylko zdaje, że coś przed nią ukrywamy – odrzekł stanowczo. – A my sami nie bardzo wiemy, co się dzieje. Mimo wszystkich badań.

Robert pokręcił głową, jakby mu nie dowierzał.

– Oskar, mnie możesz powiedzieć prawdę – przerwał, szukając silnego argumentu. – Kaśka jest moją... narzeczoną.

Młody lekarz wciągnął głośno powietrze i podrapał się w skroń.

– Mam nadzieję, że mnie podpuszczasz, bo do ślubu raczej nie dojdzie – odpowiedział z druzgocącą powagą.

– Jak to?! Zaraz! Jest aż tak źle?

– W każdym razie nie jest dobrze. – Ton Oskara zrobił się ciepły. – Coraz częściej traci świadomość. Proces postępuje szybko – mówił życzliwie, jak do strapionego członka rodziny.

Robert nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

– Jaki proces? Jednak to rak? – Miał wrażenie, że żebrze o zmianę wyroku.

Oskar przyjrzał mu się ze współczuciem.

– Nie kłamię, że pewności to tu nikt nie ma mimo tylu badań – zaczął. – Ale objawy się zgadzają... z grubsza. Są pewne zastanawiające odstępstwa, dlatego profesor Gart tak gra na zwłokę z tą kraniotomią, która ostatecznie wszystko by wyjaśniła. Bo nawierty tu nie rozstrzygną – zdecydował się mówić bez ogródek. – Mieli jej otwierać czaszkę już tydzień temu, ale Gart stwierdził, że nie ma powodu tak wcześniej jej kaleczyć. Tylko zaczęła szybko słabnąć i ordynator obawia się, że ona kolejnego tygodnia nie wytrzyma. Tymczasem Gart jest nadal dobrej myśli, ale decyzję o cięciu podjął.

Robert natychmiast chwycił się wersji tego nieznanego mu Garta.

– Czyli może się jeszcze okazać, że to nic groźnego? – rzucił.

Oskar znowu rozłożył ręce.

– Cóż, kto wie? Ona nie jest nawet na analgetykach. Ale zbyt wiele bym sobie nie obiecywał.

– A nawet gdyby rak! – rozpędził się Robert. – To przecież bywa całkowicie uleczalny!

– Tylko trzeba wiedzieć, co leczyć – skwitował Oskar. – Pogadaj może z Gartem, on ją prowadzi.

Robert nie dostał się już tego dnia na salę Katarzyny ani nie znalazł wspomnianego profesora. Nazajutrz przy powitaniu z Kaśką zdobył się na beztroski ton, choć nie przestawał go dławić lęk. Nie wyglądała wcale na ciężko chorą. Owszem, była blada, ale przecież nie wychodziła ostatnio na słońce. Z łóżka patrzyła na niego powiększonymi przez strach, chabrowymi oczyma dziewczyna śliczna jak obrazek, tak skupiona na jego spojrzeniu, jakby z niego miała odczytać wyrok dla siebie. Usiadł koło niej mimo zakazu.

– Nie ma dowodów na raka, zabieg to kolejne badanie – wyrzucił jednym tchem.

– Słyszałeś, żeby w dzisiejszych czasach komuś otwierano czaszkę tylko dla badań?!

– Tak, wczoraj od Oskara! A ty koniecznie chcesz usłyszeć, że jest bardzo źle?!

Pokręciła głową.

– Słuchaj, ja wiem, co znaczą te utraty świadomości – rzekła z ironią. – Tam, na sali obok była pacjentka... Do ostatniego dnia mówiono jej, że z tego wyjdzie. A ja wolę znać prawdę. Ja sobie życzę znać prawdę! – krzyknęła. – Cóż te oszustwa mają na celu?! – szlochając, osunęła się w jego ramiona.

Drzwi sali otworzyły się nagle i stanęła w nich pielęgniarka.

– Proszę nie denerwować pacjentki. Powinna unikać silnych wzruszeń – rzuciła oschłym tonem. – I dlaczego pan siedzi na łóżku? – Skarciła wzrokiem powstającego chłopaka. – Najlepiej niech pan opuści pokój!

Wtedy na korytarzu przeraźliwie zadźwięczał gong. Po chwili huknęło z głośnika:

– Personel kliniki! Ostre pogotowie! Natychmiastowa zbiórka w izbie wyjazdowej!

Pielęgniarka wybiegła z sali. Katarzyna, spokojna przez moment, wzdrygnęła się nagle, jakby przeszył ją prąd.

– Zaczyna się! – szepnęła.

– Co?! – Robert ukląkł przy łóżku i ujął w dłonie jej głowę.

Miała mocno rozszerzone źrenice. A przecież słońce padało jej prosto w twarz!

– Ty nie widzisz! – powiedział z przestachem.

– Jak mam podać, kiedy wszystko się rozpada! – wyrzuciła z siebie z pretensją w głosie. – Nic nie da wasze wzmocnienie! Nie, nie chcę! – Uskoczyła w panice pod ścianę. – Nikt mnie nie pytał o zdanie, a teraz... Ta pomoc się nie uda! – mówiła rozżalona.

Wpatrywał się w nią w zdumieniu. Potrząsnął jej ramieniem, jakby chciał ją obudzić.

– Nie przerywaj! – Skarciła go zdecydowanym tonem. – Zostało niewiele czasu. Sprawnie funkcjonuje jedynie system autokontroli. Jego szlak synaptyczny został właśnie utworzony, ale i on wkrótce się rozpadnie. Pula kodowa miała charakter zbyt ekspansywny. Drogi zostały przerwane z degradacją neuronów...

Robert po raz pierwszy próbował zapamiętać każde słowo z wywodu Kaśki, ale prawie nic nie rozumiał.

– Powiedz to jaśniej – poprosił.

Zwróciła twarz w jego stronę, choć dalej zdawała się półobecna.

– Sprawdźcie w korze hipokampa... stopa i koryto... W płatach czołowych też dużo miejsca...

– Czy to dotyczy twojego mózgu? – zapytał, choć widział, że ona go nie słucha.

Jej wiotkie teraz ciało opadło bezsilnie na poduszki. Przerażony nacisnął guzik alarmu. Minęło kilka minut – nikt nie przychodził. Kaśka straciła chyba przytomność. W momencie, gdy postanowił robić masaż serca, jej oczy zareagowały na światło.

– Kasiu – szepnęła. – Jak ci pomóc? Powtórz jeszcze raz to, co przed chwilą!

– Ja nie pamiętam, co przed chwilą – odezwała się cicho. – To ten atak. Podobno mówię wtedy różne rzeczy.

– Jakby nie z tego świata – potwierdził.

– Wybacz, to ta choroba... – Kilka łez spłynęło jej po policzkach. – Tak mi żal życia. Nie potrafię umrzeć dzielnie. Jakiż mały staje się wtedy człowiek...

– Przestań! – Nie chciał tego słuchać. Czuł, że zdarzenia go przerażają.

– Po co się oszukiwać? – stwierdziła beznamyślnie. – To ostatni atak. – Wyraźnie się poddała.

Dreszcz lęku przeszył Roberta na wskroś. Wbrew samemu sobie zaczął jej wierzyć.

– Nie możesz tego zrobić! – krzyknął, podnosząc z łóżka jej bezwładniejące ciało.

– Czy ty mnie kochasz? – spytała jakoś pogodniej, jakby jego rozpacz dodała jej otuchy.

– Och, wiesz przecież!! Kocham cię! Kocham!

– Więc wybacz mi – wyszeptwała.

– Przestań, słyszysz?! – zawołał, widząc, jak jej dłonie osuwają się na pościel.

Przycisnął ją do siebie z całej siły. Ręki nie zdejmował z sygnalizatora, wzywającego pomoc. Jego dźwięk jak długi, nieprzerwany sygnał, stał się słyszalny od dyżurki przez cały korytarz.

– Czemu, do cholery, nikt nie przychodzi?! Gdzie jest lekarz?! – krzyknął, czując, jak kolejna fala pobudzenia rozpala mu nerwy.

Dźwięk w uszach przemienił się w nieznosny jazgot, serce łomotało, jakby miało roztrząsać żebra. Łkając, upadł z Kaśką na łóżko. Nie wiedział, ile czasu tak leżeli. Myśli gnały, jak opętane... Nagle zerwał się i wypadł na korytarz.

– Ludzie!!! Ratunku!!! Czy nikogo tu nie ma?! – Przebiegł hol i wpadł na inny oddział.

– Co jest?! – Wystraszona instrumentariuszka wyjrzała z sali zabiegowej.

– Człowiek umiera!

Kobieta w zielonym uniformie pobiegła za nim, szepcząc coś do nadajnika, który wyjęła z kieszeni. W końcu doskoczyła do Kaśki. Wykonała przy niej serię czynności, których Robert nawet nie próbował śledzić. Po chwili zjawił się lekarz. Ten również nachylił się nad Katarzyną, zerkając jednocześnie na chłopaka.

– Siostrzo, podwójna dawka furoolum – zaordynował po chwili.

– Odzyska przytomność?! – Robert ożywił się nagle.

– Furolum dla pana. Ona nie żyje od pół godziny.

Nie żyje... Usłyszane słowa bardzo wolno zapadały w świadomość Roberta. Krążyły gdzieś w mózgu, odlatywały wypychane z wysiłkiem i wracały uporczywie dziesiątki razy. Że to się stało – wiedział, przecież musiał wiedzieć, powinien. Ale rozjarzona przed chwilą wbrew logice iskra nadziei musiała gasnąć jak na rozkaz pod naporem suchych słów „nie żyje”, wypowiedzianych z taką łatwością. Jakże nienawidził teraz tego lekarza, który pierwszy nazwał rzecz po imieniu. Jednocześnie podziwiał konstrukcję własnych żył, które bez szwanku wytrzymywały niepospolite skoki ciśnień krwi. Pożałował nawet, że są takie mocne... A gdyby tak zemdleć i nie myśleć więcej...?

Nie pamiętał, kiedy zrobiono mu zastrzyk. Coś odpływało... Zwrócił się ku lekarzowi.

– Dlaczego nikogo tu nie było? – zapytał cicho.

– Personel powołany do akcji ratunkowej! – Usłyszał. – Płonie nowy gmach instytutu badawczego. Co za pożar! Ci fizycy, cholera, nawet pewnie nie pomyśleli, że przez swoje eksperymenty mogą wywołać taką tragedię! – Lekarz nie krył teraz emocji.

Zakończył czynności przy Katarzynie i zbierał się do wyjścia.

– Wezwałem profesora Garta, on zajmował się tą pacjentką – rzucił na odchodnym. – Zaraz tu będzie, niech pan na niego poczeka.

Po chwili zjawił się starszy, niewysoki mężczyzna z dwoma sanitariuszami. Chyba przez pośpiech nie założył fartucha. Miał zmęczone oczy i wyraźnie zatroskany wyraz twarzy.

– Gart – przedstawił się krótko, podając chłopakowi rękę.

Powtórzono oględziny zwłok – rutynowe czynności, od których Robert odwracał wzrok.

– Chodźmy do mojego gabinetu. – Profesor skinął na niego, gdy sanitariusze odjeżdżali z łóżkiem Katarzyny. – A jednak nie doczekała kraniotomii...

Ten człowiek był wyraźnie przybity śmiercią pacjentki. Robert nie miał siły zadawać pytań.

– Widzi pan, ja do dziś byłem pewien, że ona z tego wyjdzie. – Gart zwrócił się ciepło do niego. – Koledzy przekonywali, że na otwartym mózgu znajdą coś, co da się usunąć. Ten przypadek nie pasował mi do nowotworu. Widać pomyliłem się.

– Więc to rak? – Robert wypchnął pytanie z płuc.

– Należałoby przyjąć... jakiś wyjątkowy... trzeba poczekać na wyniki sekcji.

– Dziękuję panu za wszystko, co pan dla niej zrobił. – Chłopak wczepił się wzrokiem w profesora, który wydał mu się jedyną osobą w tym szpitalu, mogącą go zrozumieć.

– Nic nie zrobiłem. Nie wiedziałem, co robić – odrzekł lekarz ze smutkiem. – Proszę przyjść za dwa dni.

Wracając do domu, Robert czuł się o kilka lat starszy. Rozbierało go zmęczenie i senność – zapewne po podanym leku. Nie zauważał na czas ludzi, którzy zachowywali się dziś irytująco. Co chwilę ktoś go potraçał. *Co za zamęt!*, rejestrował z wysiłkiem.

Na murku nieopodal kliniki siedziała kobieta, która ukryła twarz w dłoniach i głośno szlochała. Pozazdrościł jej, że może płakać. Na horyzoncie czerwieniała luna. *To ten instytut*, pomyślał obojętnie.

SZLAK POZA KOLEJNOSCIĄ * PILNE! * KIERUNEK ULDRİ –
STOŻEK URAHO

PRZEKAZ Z MAHABOR III – od koryfera TRAGUERI do koordynatora FOLMATHO

Odebraliśmy sygnał Cothleya. Słaby i mocno zniekształcony, na granicy czytelności. Było też kilka słabszych, nieczytelnych, zapewne reszty koryfu. Brak potwierdzenia. Hipotetyczna przyczyna zniekształceń: warunki atmosferyczne. Miejsce wysłania impulsu: przypuszczalnie jedna ze szkół gwiazdnych. Przyczyna braku powtórzenia: nieznana.

PRIORYTET! Melduję, że spowodowaliśmy degradację ciała Mahaborianina, której nie potrafimy odwrócić. Przyczyna: chwiejność vibracyjna i brak współpracy osoby, odmowa przyjęcia pomocy.

W pełni świadom konsekwencji, oczekuję śledztwa strażników KONWENCJI. Nadam komentarz w trybie zwykłym.

TRAGUERI

BLIZNY ZZA GROBU

Robert wahał się, czy pytać o wyniki sekcji. Od dwóch dni włóczył się samotnie po mieście, świadomie omijając dzielnicę, w której mieściła się klinika. Wracał do domu tylko na noc. Nie chciał z nikim rozmawiać. Jeszcze nie teraz... W końcu podjął decyzję.

– Była sekcja, a jestem głupszy, niż przedtem! – głos profesora Garta wyrwał go z zadumy w szpitalnym gabinecie przyjęć. – Mózg z pozoru czysty, bez zmian przerostowych. Ani śladu procesu naciekowego. Tylko to jedno pytanie: dlaczego umarła? – Profesor wprowadził gościa do sali z komputerową kartoteką. – Dopiero po dokładniejszym zbadaniu szeregu neuronów okazało się, że nieco odbiegają od normy – wychwycił zainteresowanie w spojrzeniu słuchacza. – Zmieniły się nieznacznie właściwości fizykochemiczne, co widocznie zaburzyło całkowicie fizjologię tych komórek. Jednym słowem – profesor zawahał się – nastąpiła degradacja mózgu. Ale nie mogę tego nazwać rakiem. Przynajmniej w świetle znanych mi przypadków. Co spowodowało ten dziwny proces? Może zatrucie jakąś substancją przekraczającą barierę krew-mózg? – przerwał i spojrzał w sufit. – Z tym, że jej nie odnaleźliśmy. Jako przyczynę zgonu podaliśmy co prawda nowotwór, tak uważa większość kolegów, ale dla mnie to zagadka. Spróbuję nad nią popracować.

Robert wziął kilka głębokich oddechów, jakby miał oznajmić coś trudnego.

– Podczas ostatniego ataku Kaśka powiedziała wiele niezrozumiałych dla mnie zdań – zaczął. – Użyła pojęć anatomicznych. Może to były halucynacje, ale chyba precyzyjnie określiła stan swojego mózgu. Niestety, jestem tak kiepski z anatomii, że nie powtórzę. Mówiła na przykład „sprawdźcie hipokamp”.

Profesor zamyślił się.

– Szkoda, że mnie wtedy tu nie było – powiedział ze smutkiem. – Ale skąd pacjentka miałaby znać detale swojego procesu chorobowego? – Podrapał się w głowę. – Hipokampa nie sprawdzaliśmy szczegółowo. A szkoda, bo teraz za późno. – Spojrzał na chłopaka tak, jakby wyrzucał sobie, że go wcześniej lepiej nie przepytał. – Jeszcze jedno – zawahał się, czy mówić dalej. – Czy wiadomo panu o jakimś zabiegu na gonadach, któremu się poddała?

– Gonadach? – powtórzył Robert zaskoczony.

– Na wysokości lewego jajnika znaleziono maleńką, ledwie widoczną bliznę. Jest nietypowa. Wygląda po prostu jak sklejenie. Trzeba było powiększenia, żeby to w ogóle zauważyć. Rozcięcie, oprócz skóry, obejmuje także powłoki i mięśnie. Robiony był najwyraźniej zabieg... jakąś misterną, nieznaną mi techniką. Coś jak nowoczesna chirurgia plastyczna... Choć plastik nie umiał stwierdzić, jak świeża jest ta blizna. – Profesor nabrał tchu. – I najważniejsze: na wysokości szwu ciemieniowo-potylicznego stwierdzono podobną bliznę, a sam szew był niekompletny – przyjrzał się Robertowi, czekając, aż ten w końcu coś sobie przypomni. – Jakby kości czaszki rozeszły się na ułamek milimetra. Ingerencja w mózg mogła mieć coś wspólnego z chorobą. Choć zabiegi zrobiono tak, że gojenie było natychmiastowe. Gdybyśmy odnaleźli lekarza, który robił jeden zabieg, być może dowiedzielibyśmy się o drugim.

– Ja nic nie wiem! – odrzekł Robert w najwyższym zdumieniu. – Pytał pan jej matkę?

– Oczywiście – odrzekł Gart. – Gdyby wiedziała, nie pytałbym pana. Widać oba zabiegi zrobiono w ścisłej tajemnicy, bo nie ma śladu w komputerze medycznym. Aha... pan ma na nazwisko Bryniarski, prawda?

Robert skinął głową. Śledził każdy ruch lekarza, gdy ten zbliżył się do solidnego biurka.

– Mam tu list do pana. – Profesor otworzył szufladę i wyjął bladą, żółtą kopertę. – Napisała go pacjentka jakiś tydzień temu. Wręczyła mi, prosząc, bym oddał panu po jej śmierci. Nie chciałem go przyjąć,

ale nalegała... Proszę, może ten list coś wyjaśni – podszedł do gościa, który znieruchomiał.

– Dziękuję – wymamrotał chłopak, uświadamiając sobie, że w życiu nie dostał papierowego listu. *Co mogła tam włożyć?! –* Jeśli tak, przyjdę panu powiedzieć, ale nie chciałbym tu na miejscu... czytać tego.

– Rozumiem. – Profesor skinął głową.

Robert opuścił klinikę w pośpiechu. Na schodach zderzył się ze znajomą skądś pielęgniarką. Dopadł drzwi, ignorując epitafium. Z chaosem w głowie niemal przebiegł przez miasto. Nim spostrzegł, dokąd zmierza, znalazł się w lesie bukowym na peryferiach Zielonego Trapezu. Sandały nabierały liściastej ściółki, która więzła między palcami stóp. Przywarł jasną bluzą do omszałego pnia, plamiąc ją natychmiast mokrą zielenią. Otworzył list i zaczął czytać:

Drogi mój!

*Wiele zdarzeń ostatnich dni pogmatwało nasze plany. Nie dotrzy-
maliśmy danych sobie obietnic. Zawsze byliśmy ze sobą szczerzy, dlatego
muszę Ci wyznać, że ja też Cię zdradziłam. Nie był to zaplanowany
rewanż. I niczego nie żałuję. Jeżeli On opowie Ci o wszystkim – nie
będę miała żalu. Jeżeli się nie ujawni – również nie. Ma teraz wyrzuty
sumienia. A niepotrzebnie, bo jestem mu wdzięczna. Jeśli będziesz miał
okazję, powiedz mu. Tymczasem żegnam Cię i życzę szczęścia. Jeśli
potrafisz – wybacz, jeżeli nie – trudno. Ja Ci wybaczam.*

Katarzyna.

Robert schował list. Po silnym ukłuciu za mostkiem przez dłuższą chwilę nie czuł nic. Potem ledwie uchwytne smutek, który rozrastał się po kryjomu. Gdy stał się nie do zniesienia, przerodził się w złość, która pęczniała jak burzowa chmura. Bezwiednie ruszył przed siebie. Roztrącał nogami gałęzie, o które się potykał. Z trudem docierał do niego sens przeczytanych zdań. „Ja ciebie też zdradziłam!” – powtarzał w myśli, czując, jak wypychany ze świadomości żal powraca ze zdwojoną siłą i zmienia się w pogardę. Nie wiedzieć kiedy, znalazł

się w obrębie Osiedli Zakola. Zatrzymane łzy niemal wdarły się do gardła.

Na ławce przed swoim blokiem zobaczył Maćka. W pierwszym odruchu chciał zawrócić, ale w końcu zdecydował się podejść. Dotarł do niego zirytowany głos kolegi:

– Byłem u ciebie kilka razy. Nie odbierasz komórki!

– *Sorry*, nie miałem ochoty na kontakt – odpowiedział.

Maciek pokiwał głową. Jego szczerą, piegowaną twarz z bystrze rozbieganymi oczyma, nie umiała ukrywać napięcia.

– Słyszałem o Kaśce – zaczął, obawiając się reakcji przyjaciela. – Jutro pogrzeb...

– Tak? – Robert wciągnął głęboko powietrze, a wraz z nim słodką woń kwitnących wokół lip.

– Tak mówiła jej matka. Pytała o ciebie... Przyjdziemy przedtem z Bartkiem, dobra? – Maciek był zdziwiony obojętnością kolegi.

– Nie przychodźcie. Nie pójdę. – Robert rozejrzał się wokół z dziwnym wrażeniem, że nie są sami. Potem zastygł bez słowa.

Maciek przyjrzał mu się niepewnie. Nie umiał pocieszać. Milczeli chyba z kwadrans. Robert z trudem wrócił uwagą do przyjaciela, przestając nasłuchiwać. *To czujność, czy już obłąd po koszmarniej polance?* – rozważał w myśli. Spytał grzecznościowo, co u Kamili i ledwie rejestrował odpowiedź. Czyli, że Maciek nie wie. Bo gdy wrócił z egzaminów, ona była już z innym. Rówieśnikiem, przyjętym według punktacji do którejś krajówki. Nie, nie żałował startu na elitarną elektronikę do Memphis. Zwłaszcza, że się dostał.

– Wierzyłem jej jak krety! – Maciek nie krył już rozżalenia.

Robert skinął głową. Przez chwilę oddychał ciężko, jakby toczył walkę.

– Tak łatwo darowałeś jej ten bal – rzucił w końcu. – A Kaśka zrobiła z tego zdradę, zbrodnię niemal i chuj wie, co jeszcze!

– Jaki bal? – zdziwił się Maciek. – A, tę gównianą butelkę, z tobą – przypominał sobie. – No wiesz co?! – machnął ręką. – Chyba, że było coś więcej. – Spojrzał Robertowi w oczy. – Bo widziałem, że ona na ciebie leci...

– No co ty! – zachnął się Robert. – Dla Kaśki chciałem być nieugięty. Co za imbecyli! – uderzył się dłonią w czoło. – Chyba jak mój stary: „Mężczyzna jest konsekwentny, jeśli chce coś osiągnąć. Jak skała, jak opoka!” – wykrzyczał ostatnie wyrazy. I dodał cicho:

– Czasem mi go szkoda. Prawie całe życie był sam...

– Ale z tobą mu nieźle wychodzi. – Maciek uległ naglej zmianie tematu. – Skąd ty masz siłę, żeby umieć we wszystko, co rokuje? – W tym pytaniu nie było krzty współczucia.

– Chyba nie warto. – Robert skrzywił się z niesmakiem. – Ojca szlag trafiał, gdy czegoś nie umiałem... Po każdej wtopie znów chciałem być dobry. A on mówił zaskoczony: „Robert, myślałem, że z ciebie poważny człowiek! A tobie idiotyzmy w głowie! W twoim wieku?!”. – Wpatrzył się w góry na horyzoncie, pokryte nieruchomym lasem. – Ja zawsze byłem w niewłaściwym wieku, wiesz? – Zaśmiał się. – Kazał mi trenować samokontrolę. Nieraz dla próby odmawiałem sobie czegoś. I nawet byłem dumny, gdy się udawało. Z tego, że jeszcze nic z Kaśką i idzie wytrzymać, kiedy wy... też bywałem dumny... I co to było warte, powiedz? – Zakasłał. – Kaśka i tak uznała, że nie omijam okazji. Za to ona nie przepuściła swojej!

– Coooo? – Maciek prawie się zapowietrzył.

– Nic szczególnego. Po prostu życie! – Robert machnął ręką, chcąc pokazać dystans do wydarzeń, ale nie przekonał nawet siebie. – Nie masz ochoty się schlać? Bo ja owszem.

– Ty?! – zdziwił się Maciek. – Przecież ty najebałeś się pierwszy raz dopiero na tym balu!

– No to będzie drugi. – Robert podniósł się z ławki. – Marzę, by zrobić reset mózgu.

– Dobra. Namówiłeś mnie! – Maciek poderwał się ochoczo.

Poszedł za kolegą w stronę grobli, a potem brzegiem rzeczki. Wpatrywali się bezmyślnie to w błękitne łąchy niezapominajek, to w płynące pracowicie pod prąd potomstwo dwóch czarnych łabędzi, zabłąkanych w podgórskiej Trójoazie dziwnym zrządzeniem losu.

SZLAK OGÓLNY * KIERUNEK ULDRI – STOŻEK URAHO

Koryfer TRAGUERI do koordynatora FOLMATHO

Informuję z przykrością, że zainicjowaliśmy śmierć cielesną łącznie siedmiu istot z Mahabor III. O pierwszym przypadku już donosiłem. Wciąż jestem zaskoczony taką reakcją osobnika, z którym w końcu uzyskaliśmy przedświadomy kontakt. Byłem przekonany, że wykonany przez nas zabieg nie niesie zagrożenia dla życia. Jednak u istoty ujawniły się vibracje ścinające. Nie zarejestrowaliśmy ich wcześniej chyba z powodu głębokości zapisu. Efektem był całkowity blok – odmowa przyjęcia frekwencji, którymi dysponowaliśmy.

Następnych sześć istot straciło życie podczas eksperymentów z fragmentem naszego volmionu, który odkruszył się w zalesionym terenie. Istoty te dowiozły go do placówki badawczej i dokonały ciśnieniowego bombardowania fotonowego w ramach testu. Wzbudziły mokry ogień. Tu zupełnie nie uzyskaliśmy kontaktu.

Naszą nadzieją jest embrion – produkt inżynierii genetycznej. Do tej chwili rozwija się dobrze. Zgłaszam gotowość do poddania się generalnemu śledztwu oraz pytaniom koordynacji. Jednocześnie proszę o możliwość pozostania na Mahabor III.

TRAGUERI

SZLAK POZA KOLEJNOSCIĄ * PILNE! * KIERUNEK MAHABOR III

Koordynator FOLMAHTO do koryfera TRAGUERI

Wytypuj członka koryfu do testu z blokadą świadomej kontroli. Chcę jego raport o odczuciach po badaniu.

SŁABA AMORTYZACJA

– Rob, jak to Kaśka nie przepuściła okazji? – Maciek szturchnął kolegę, a ten urwał zawleczkę od puszek z piwem. – Cofnij, bo nie złapałem.

Obaj półleżeli w krzakach żarnowca na polanie jednego z lasów Zielonego Trapezu. Gorący, czerwcowy wieczór przywoływał wspomnienia, budził resztki wzniosłych marzeń, słodkich przysiąg, barwnych planów. Dzieciństwo – pełne beztroski i fantazji, mimo piętna słynnej generacji Delta, jak zwano pokolenie ich rodziców – zdawało się teraz częścią baśniowego świata, odchodzącego w przeszłość. Dryfujący żyłami alkohol łudził płynnością tego przejścia. Czyżby potrafił zamortyzować każdy wstrząs...? I jeszcze to słońce, zachodzące tak panicznie czerwono, jakby krew tryskała między gałęziami. I żaby drące się nad rozlewiskiem jak wtedy, tyle razy...

Robert wyjątkowo długo mocował się z uszkodzoną puszką piwa. W końcu podał Maćkowi bez słowa list Katarzyny. Ten zbliżył papier do oczu, jakby dobrze nie widział.

– Rob, co tu się odjebało? – zapytał w końcu.

– Kamila przynajmniej niczego nie kryła! – Robert rzucił to zbyt szybko, by brzmiało wyraźnie.

– Co to za ziom? – dociekał Maciek.

– Nie mam, kurwa, pojęcia!

– Ty, ale z Kaśką to chyba przez te ostatnie przepięcia – wybełkotał Maciek.

– Wszyscy bylibyśmy święci, gdyby nie okoliczności! – nie ukrył sarkazmu Robert.

– Ale nie każdy skacze z mostu do rzeki – zauważył Maciek.

Robert otrzeźwiał momentalnie.

– Co? Kaśka skakała? Kiedy?!

– Ze dwa tygodnie temu, jak byliśmy na wstępnych. – Maciek myślał wolniej niż zwykle. – Malicki ją wyciągnął.

– Skąd to wiesz?!

– Widziało paru od nas, co szli bez egzaminów... Podobno jechał z nimi tramem, a potem wyskoczył. – Maciek próbował powiedzieć

to płynnie. – Było o tym niedawno w lokalnym info. Bez nazwisk. Poszukiwano tajemniczego wybawiciela nieznanej dziewczyny – wyskandował ostatnie zdanie.

Robert ukrył twarz w dłoniach.

– Tak mało o niej wiedziałem? – zapytał zgnębiony. – Myślałem, że się użala nad sobą...

– Ostatnio faktycznie się mazała. Ale teraz to zrozumiałe – głos Maćka był pełen współczucia.

W dodatku rozrzewniało go zawodzenie jakiegoś ptaka. Wokół pola dojrzewały do żniw, takie rodzime, a on do Memphis... Otworzył kolejną puszkę i podał przyjacielowi.

– Słyszałeś, coś dziwnego wywlekli z tego spalonego instytutu – zmienił temat. – Nikt nie wie, co to, zabrano na badania – dodał. Ale nie doczekał się reakcji kolegi.

Robertowi powracał stan upojenia. Postanowił pogadać z Malickim. Ale jeszcze nie teraz, za chwilę...

GORYCZ PORAŻKI

Tragueri spoglądał w zamyśleniu na tryferów swojego koryfu, pięciosobowej załogi statku Bi-501. Powinien nie tylko dowodzić, ale też zapewnić im bezpieczeństwo i energetyczne prowadzenie. Tymczasem zawiódł. Dopuszczał do zajścia procesów nieodwracalnych na Mahabor III – planecie, która zaskoczyła go mimo ostrzeżeń. Nikt z zaangażowanych nie wyjdzie już z tego bez szwanku.

Z widoczną przy zachmurzonym niebie, szarawą poświatą wokół górnej warstwy ciała, przekazał tryferowi Diavune ostatnie polecenie koordynatora.

– Myślę, że to będziesz ty – wyartykułował niemal bezdźwięcznie. Wieniec jego falujących smutkiem oczu rozpalala gorączka. – Po teście przedstawiś koordynacji swój punkt widzenia.

– Wpakowaliśmy się, koryferze, prawda? – zapytał Diavune.

W wilgotnym powietrzu pieczary, wyżłobionej we fliszowej skale, podpłynął bezszelestnie do Tragueriego. Zwykle intensywne

turkusy i cynobry górnych warstw jego fluidu były dziś tak zgazowane, jak u milczących kompanów. Wysunął plastyczne ramię ku centrum jaskini z niemym pytaniem. Tam, w przejrzystym konterze, pływał spory zarodek. Żywa istota, tak bardzo potrzebująca teraz wsparcia i tak mało świadoma przyszłości, jak chyba każdy z tu obecnych.

– Wpakowaliśmy się – powtórzył matowo Traguery i zmarszczył rezonty z powagą.

– I co teraz?

– Weźmiemy, co nasze! – Słowa koryfera nabrzmiały determinacją. – Od tego się nie ucieknie. – Uniósł ramiona w przepaszającym geście w kierunku trzech wciąż milczących tryferów.

Nabrał światła wszystkimi stiamami, jakby się dusił. Ich grafit załśnił jasnymi strugami wewnątrz warstwy jego eteru, która pulsowała teraz barwami goryczy. Podążył ku centrum pieczary. Zbliżył się do walcowatego kontenera z jedyną udaną hodowlą. Obserwował przez chwilę ufne ruchy hybrydy, która Ignęła do szyby w reakcji na ciepło jego ciała. Popadł w zamyślenie. Coraz tragiczniej czuł się w roli uzurpatorskiego boga na tej dziwnej planecie.

OJCIEC

– Nareszcie! – wykrzyknął Piotr Bryniarski, gdy jego syn stanął w drzwiach wejściowych. – Jak myślisz, która godzina?!

– Druga siedemnaście – odparł Robert, nie zapalając światła.

– No właśnie! A jutro rano przecież pogrzeb! – Ojciec jednak włączył oświetlenie. – Jak ty wyglądasz?! I... ty jesteś pijany!!!

– Tak, ale to się wytnie! – Robert zaśmiał się i machnął ręką.

Zdjął pełne igliwia sandały. Potrącił szafkę, z której coś się zsunęło. Wszedł chwiejnym krokiem do łazienki, mijając zdumionego rodzica. Strącił tam coś z hałasem do basenu. Gdy wyszedł po długiej chwili, ojciec wciąż stał w dawnym miejscu.

– Cicho. Sąsiedzi... – położył palec na ustach.

– A, sąsiedzi! – Robert czknął głośno. – Ale przecież ściany są dźwiękoszczelne! – przypomniał sobie mimo kotłowaniny w głowie. – I podłoga!

– Nie takie znowu szczelne! – sprostował ojciec karcącym tonem. Chłopak udał się do swojego pokoju. Zwalił się na kanapę. Ojciec wszedł za nim.

– Synu, czas wziąć się w garść – rzucił, mrużąc stalowoszare oczy z wyrazem niechęci.

– Podaj powód – odrzekł Robert twardo, wystarczająco rozbity, by zignorować dezaprobatę.

– Słucham? Nie rozumiem! – Ojciec zlustrował syna ostrym spojrzeniem.

Nie przywykł do takich rozmów.

– Po prostu nie chce mi się brać w garść, tato – ton głosu Roberta złagodniał. – Tu nie ma nic do rozumienia.

– Jak to nie chce ci się? – Piotr Bryniarski zbliżył się do niego.

Rozumiał tragizm sytuacji, nie rozumiał natomiast ulegania słabościom.

– Zwyczajnie. Żeby się brać w garść, trzeba najpierw wiedzieć, w jakim celu. – To było zbyt długie zdanie, by przeszło bez zająknięcia.

– Żeby żyć dalej! – błyskawicznie padła odpowiedź ojca.

– Żeby żyć dalej... – powtórzył bezmyślnie Robert.

Zapadła cisza. Mijały minuty, ojciec nie wychodził.

– Wiem, co czujesz – powiedział wreszcie. – Kiedy umarła twoja matka, też myślałem, że świat się zawalił. Ale zostawiła ciebie, więc nie pytałem, w jakim celu... Katastrofy nauczyły nas nie roztkliwiać się nad każdą śmiercią. Inaczej byśmy nie przetrwali.

Matka... Ukłucie w okolicy serca. *Czemu to takie abstrakcyjne dla mnie słowo? Czemu nie dane mi było widzieć jej żywej...?* Robert mało się nie rozplakał. Zdał sobie nagle sprawę z dramatu ojca. Chciał podejść i objąć go, ale coś mu nie pozwalało, jakby trzymało z całych sił.

– Przepraszam, tato – powiedział tylko i odwrócił się do ściany.

– Ja wierzę, że się pozbierasz – rzekł łagodniej Piotr Bryniarski.

Ale wciąż stał jak żołnierz na posterunku.

– Na pewno. – Chłopak przytaknął bezbarwnie i odczekał, aż ojciec wyjdzie z pokoju.

Odkleił od bosej stopy jakąś zadrukowaną nalepkę, która musiała spaść, gdy potracił szafkę w przedpokoju. Zlecenie testu substancji organicznej...? Odczytał: „Pochodzenie nieznane, przekazać Akademii Astronautyki”. Kiedyś by go to zelektryzowało, teraz pomyślał leniwie o znalezisku z pożaru. Ojciec, jako szef tutejszej biotechnologii, mógł coś o nim wiedzieć... Myśli plątały się, więc zgasił światło. Zasypiając, postanowił odłożyć rzecz na później.

Rozdział 3

GDY UPDATE BOLI

SZLAK POZA KOLEJNOŚCIĄ * PILNE! * KIERUNEK ULDRI
– STOŻEK URAHO

PRZEKAZ Z MAHABOR III.
Tryfer DIAVUNE do koordynatora FOLMATHO

Dziwi mnie, że na podstawie danych uzyskanych w wyniku dogłębnej podobno analizy moich frekwencji, wyprowadzono wnioszek o złamaniu Konwencji Galaktycznej. W paragrafie „tragiczne w skutkach doświadczenia na mieszkańcach” ujęto także „przekroczenie kompetencji w kwestii inżynierii genetycznej”. Moim zdaniem to nieporozumienie. Z kolei zarzut: „nieodpowiedzialne traktowanie sprzętu, niebezpiecznego w środowisku planety” to już oszczerstwo, gdyż sprzęt, o którym mowa, to fragment volmionu, który odkruszył się podczas lądowania. I z całą pewnością nie jest niebezpieczny w atmosferze Mahabor III, gdy leży w lesie. Nie uprzątnęliśmy go, to prawda, ale wybuch, który przerwał życie sześciu istot, nastąpił

z powodu poddania go chemizacji oraz ciśnieniowemu bombardowaniu fotonami, co zainicjowało reakcję łańcuchową. Wybaczcie, nie przyszło nam na myśl, że ktoś może tak potraktować fragment nieznannej materii. Nie panujemy tu nad wszystkim. Zagęszczony wydaje się nawet czas. Przytłacza nadmiar trudnych do kontroli zdarzeń. Nie jesteśmy idealnie przygotowani do pracy tutaj – na tak skokowe zmiany vibracji. Ale czy można się idealnie przygotować do warunków hipotetycznych? Praktyka jest właściwym sprawdzianem! Gdy ktoś na Uldri mi powie, że pozbył się już w swoim mniemaniu śmiertelnych częstotliwości, proponuję mu test na Mahabor III. Zresztą, wystarczy przykład Cothleya! Rozwój osobowości, poziom lęków, autoocena – wszystko modelowe. A tu po prostu zaginał!

Uczymy się w tym miejscu cały czas i gromadzimy informacje o intrygującej planecie, a nasza praca ma szanse wyjść na użytek Uldri. Nie zapominamy o głównym celu misji – odnalezieniu Cothleya. Dlatego wierzę, że mimo tak negatywnej oceny podejmiecie decyzję o naszym pozostaniu i kontynuacji rozpoczętych działań. Czasu zakończenia niektórych z nich nie da się precyzyjnie przewidzieć. Wybaczcie ten nieraportowy tryb, ale sądzę, że będzie on obustronnie użyteczny.

DIAVUNE

SZLAK OPTIMUM * KIERUNEK MAHABOR III Z ODBICIEM ODPOWIEDZI

TESTER OSOBOWY: koordynator FOLMATHO
ODBIORCA: koryfer TRAGUERI

Folmatho: Określ stan gotowości do testu. Jeśli jest ujemny, podaj przyczynę.

Trageri: Stan ujemny. Przyczyna: niepokój związany z przyspieszeniem biegu informacji.

Folmatho: Powód: niejasność co do waszych kontaktów z istotami globu.

Tragueri: Stan gotowości: zero.

Folmatho: Wspominałeś wielokrotnie o niemożności teletransmisji. Świadomość waszej obecności jest u nich blokowana przez kompleks wariacyjny, jeśli dobrze rozumiem. Czy oni was nie rejestrują zmysłami?

Tragueri: Jesteśmy w trakcie badania tej sprawy.

Folmatho: Jak to? Ingerujesz w ich ciała, nie znając podstaw ich funkcjonowania?

Tragueri: Rozeznanie co do spektrum ich odbioru zrobiliśmy już dawno i poprawnie. Problem dotyczy ich interpretacji tego, co rejestrują. Tego nie rozumiemy.

Folmatho: Teraz ja nie rozumiem. Widzą was, słyszą lub odbierają inaczej, czy też nie?

Tragueri: Częściowo.

Folmatho: Więc chyba nie powinni mieć wątpliwości co do waszego istnienia, cokolwiek znaczy to „częściowo”.

Tragueri: Otóż mają i to poważne. W związku z tym staramy się już nie pojawiać bezpośrednio w ich otoczeniu.

Folmatho: Dlaczego?

Tragueri: Ponieważ wzbudza to paniczny strach. Ale to akurat nie dziwi przy ich wysokim poziomie lęków. Dziwne jest, że po każdym spotkaniu z nami nie są wcale zainteresowani tym, co zarejestrowali. Nie badają sprawy dalej. Mam wrażenie, że chcą wtedy sami siebie przekonać, że doznali urojenia. Albo jeszcze inaczej – może oni widzą w nas coś o szczególnym znaczeniu? Pracujemy nad tym.

Folmatho: Powodzenia. KONIEC TRANSMISJI

OSŁUPIENIE

Tydzień po pogrzebie Katarzyny Robert zdecydował się odwiedzić Malickiego. Celowo nie umówił się wcześniej, nie chcąc zaczynać rozmowy przez telefon. Wiedział, kiedy można go zastać w domu, więc zaryzykował...

Na widok Roberta twarz na ekranie domofonu nabrała najpierw wyrazu zdziwienia, a chwilę później nienaturalnej powagi. Prowadząc gościa do salonu, Malicki gratulował mu rewelacyjnie zdanych egzaminów. Jednak Robert szybko zauważył, że poruszony temat nie budzi szczególnego zainteresowania wychowawcy, a ton jego głosu zdradza skrywane napięcie. Usiadł we wskazanym mu fotelu przy mobilnym stole. Spostrzegł, że w mieszkaniu ubyto sprzętów. Z korzyścią – zrobiło się przestrzennie.

– Pan wie, o czym chcę porozmawiać? – zapytał, starając się, by nie zabrzmiało to niegrzecznie.

Malicki przyglądał mu się przez chwilę, po czym odrzekł bezbarwnie: „Wiem”.

– Więc jak to było?

– Nie opowiadała ci?

– Nic kompletnie. Dowiedziałem się nie od niej.

– A od kogo?!

– Od Maćka.

– A on skąd wie?!

– Chyba z mediów czy od brata...

– Aha – odrzekł Malicki z wyraźną ulgą, której Robert nie potrafił sobie wytłumaczyć. – Więc było tak: przekroczyła balustradę na moście, postąpała chwilę i skoczyła. Gdy tam dobiegłem, nie dawała sobie rady z prądem. Początkowo miała żal, że ją wyciągnąłem.

– Udałoby się jej samej wyjść z tego cała? – Chłopak miał wrażenie, że mówi o nieznanej mu osobie.

– Nie sądzę. Zniosłoby ją na tamę. Specjalnie skakała w tym miejscu.

– Ale przecież w szpitalu chciała żyć... – Robert nie ukrywał poruszenia.

Malicki pokręcił głową, też okazując rozterkę.

– Być może przygotować się na śmierć po raz drugi jest znacznie trudniej – nabrał głośno powietrza. – A ja jej chyba dałem nadzieję. Czy to nie było podłe?

– Czyżby żałował pan, że uratował jej życie? – zdziwił się Robert.

– Tego nie powiedziałem.

Malicki usiadł w ruchomym fotelu naprzeciw wychowanka i przestał się odzywać. Niepozorny robot podał herbatę niemal bez szmeru. Robert dłuższy czas zbierał myśli.

– Czy sądzi pan – rzekł w końcu – że ona była... zdrowa psychicznie? – Przestraszył się własnych słów.

Malickiego jakoś nie zdziwiło pytanie.

– Tu trzeba specjalisty – odrzekł. – Ale ja nie widziałem alarmujących sygnałów. Sprawiała wrażenie kompletnie rozbitej chorobą, ale kiedy się zrelaksowała, wszystko było okej.

– Więc chciała się zabić z powodu choroby?

– Tak mi przynajmniej powiedziała.

Robert chętnie usłyszałby, co w ogóle Kaśka mówiła Malickiemu, ale niezręcznie mu było zadać takie pytanie. Rozejrzał się po pokoju, jakby w poszukiwaniu odwagi. Jego wzrok przykuło zdjęcie na ekranie komputera, które ktoś zapewne przysłał wychowawcy. Z ostatniego rajdu. Znowu poczuł, że ma ściśnięte gardło. *Kiedy to się wreszcie skończy...?!* Chciał opędzić się od wspomnień, ale po raz kolejny go pokonały.

– Przepraszam! – powiedział i ukrył twarz w dłoniach.

Wstydził się łez, ale chyba zniósłby je łatwiej przy tym człowieku niż przy ojcu.

– Słuchaj... – odezwał się Malicki. – Ona mówiła, że wy zerwaliście. Że ty ją zostawiłeś.

Robert wyprostował się gwałtownie.

– Wie pan, co ona nazwała zdradą?! – zawołał, w końcu poddając się emocjom. – To, że wygłupiłem się na balu i pocałowałem Kamile. A ona, żeby mnie zdradzić, musiała pójść z kimś do łóżka! Ale napisała przynajmniej, że było jej dobrze... A może wcale nie raz, może ta cała komedia z listem to jakaś przykrywka? I ta blizna nad jajnikiem? – zapomniał prawie o rozmówcy. – Żeby chociaż wiedział, co to za facet! – krzyknął, nie hamując wściekłości.

– W jakim celu? – zapytał Malicki dużo ciszej.

– Żeby odpowiedzieć sobie: „Dlaczego?” Żeby zrozumieć! – wyrzucił z siebie Robert. – Kulturalne półinformacje, pocieszenia typu:

zdarza się, takie jest życie... A ja nawet nie wiem, co mam z tym robić, bo wydzielono mi prawdę. Tak, jakbym nie zasłużył na całą. To niesprawiedliwe! Chciałbym, żeby ta... bezpostaciowa galareta, która mnie okleja, kryła w sobie jakąś ludzką twarz. Miałbym komu zrobić z dupy jesień średniowiecza! A ten skurwysyn wiedziałby, za co! Przepraszam, nerwy mi puszczają.

Malicki wolno podniósł się z fotela.

– Mogę coś z tego wyjaśnić – powiedział. – Facet był jeden i tylko raz. To byłem ja.

Robert zaniemówił. Wbił w wychowawcę czarne, rozżarzone teraz jak węgle oczy. Zerwał się od stołu, przewracając filiżankę z herbatą.

– Co takiego?! – zapytał zmienionym głosem. – Pan żartuje! – Wmawiał sobie, że się przesłyszał.

– Nie. Stało się to w dniu jej skoku do rzeki. Nazajutrz trafiła do kliniki i już stamtąd nie wyszła.

Chłopak stał oniemiały długą chwilę, wpatrując się nieprzytomnie w nauczyciela. Chwycił się stołu, jakby grunt usuwał mu się spod nóg. Rozlany płyn spływał mu pod stopy.

– Nie wierzę! – wyjąkał w końcu.

– Chciała się upić. Ale to moja wina, bo byłem wystarczająco trzeźwy – odezwał się znów Malicki. – Zrobiłem to... przez jakiś bunt przeciw beznadziejności. To jej przekonanie o konieczności odejścia... Czyżbym chciał ją w ten sposób zatrzymać? Nie, nie będę się usprawiedliwiać. I tak to nazwiesz jak zechcesz... I przeciw jej sztywnemu myśleniu, jednoznaczному ocenianiu i osądzaniu. To czarne, to białe... i zaraz potem atakowała wszystko, czego nie mogła uznać za szlachetne. To dotyczy również ciebie, a w szczególności sposób dotknęło i mnie – mówił szybko, rwąc zdania, jakby chciał przed czymś zdążyć. – Więc kiedy była już wstawiona i frywolna, prócz żądy obudziła się we mnie przekorna chęć pokazania jej, że to, co wczoraj było klarowne, jutro będzie mocno zmaćcone... Teraz możesz mi nakopać, bo mi się należy.

Robert wycofał się do przedpokoju. Zapragnął zniszczyć tam szafę z lustrem, które zdawało się drgać w polu jego widzenia.

Z trudem się powstrzymał, popadając z kolei w niemoc. Malicki podszedł do niego.

– Dlaczego tego nie zrobisz? – rzucił. – No, dalej, studencie AcAs! Mnie też będzie lżej!

– Nie mogę... Ona prosiła... panu przekazać, że jest wdzięczna...

– To nie powinno było się zdarzyć! – Malicki nie krył zagubienia. – Choć to było coś warte, wierz mi... Nie mogłem jej zatrzymać u siebie, choć przekonywała, że wróci jej strach – westchnął ciężko. – Odwiozę cię do domu. – Ruszył za wychowankiem, który niepewnym krokiem zmierzał do wyjścia.

– Przepraszam, ale nie chcę dłużej pana oglądać – wykrztusił Robert. – Nigdy! – Wyszedł, nie domykając drzwi.

• • •

SZLAK OPTIMUM * KOORDYNACJA DO TRAGUERIEGO NA MAHABOR III

Decyzja Zgromadzenia: wracajcie natychmiast.

SZLAK OPTIMUM * KIERUNEK ULTRI – STOŻEK URAHO * TRAGUERI do FOLMATHO

Proszę o błyskawiczny test seryjny z możliwością odbicia.

SZLAK OPTIMUM * KIERUNEK MAHABOR III Z ODBICIEM ODPOWIEDZI

tester osobowy: FOLMATHO * odbiorca: TRAGUERI

Tragueri: Skąd decyzja o powrocie?

Folmatho: Chcemy was poddać szczegółowym badaniom na Ultri.

Tragueri: Podejrzewacie degradację osobowości?

Folmatho: Może tylko zmiany pod wpływem energii planety. Potraktujcie to jako przerwę w pracy.

Tragueri: A Cothley i jego koryf?

Folmatho: Musi jeszcze poczekać. Zresztą... być może on już nie chce kontaktu z nami?

Tragueri: Przecież odebrałem wołanie o pomoc!

Folmatho: I dodałeś, że szybko ustało. Może odebrałeś błędnie. Albo Cothley żartował.

Tragueri: Teraz ty chyba żartujesz! Czyżbyście zakładali, że możemy nie wrócić na Uldri?

Folmatho: Zanim dokonacie wyboru, chcemy was sprawdzić. Zrozum, badania są ważne, ale ważniejsze jest dobro planety. No i wasze oczywiście. Dlaczego chwilowy powrót stanowi dla was taki problem?

Tragueri: Chwilowy będzie dla nas, ale przecież tu upłynie wiele czasu! Można odłożyć wszystko prócz dwóch spraw. Pierwsza to niedokończony rozwój naszego zarodka, już młodocianej istoty, której nie możemy tak po prostu porzucić, bo zginie. Jako drugą traktuję wezwanie Cothleya. Ale dla was to chyba przestał być argument. Sądzicie, że Cothley został tu dobrowolnie i nie chce wracać. Ja mam zupełnie inną wizję tej sprawy. Ale nie przekonam was chyba bez poddania się testom na miejscu. I zapewne sądowi.

Folmatho: Kiedy najszybciej możecie opuścić planetę?

Tragueri: Proszę jeszcze o dwie, może... dwie i pół monakty.

Folmatho: Macie trzy monakty, a potem powrót!

KONIEC TRANSMISJI

ŚCIERWO WŚRÓD GWIAZD

Zapadł wieczór. Różnokształtne bryły budynków majaczyły niczym zjawy w świetle pełni księżyca. Zwaliste cielska gór zalegały w oddali jak nieme olbrzymy. Zamiast wspierać swą obecnością jak dawniej, dziś zdawały się przytłaczać.

Robert i Maciek wyszli z zacienionego przedmieścia na główną ulicę Trójoazy, rozjarzoną kaskadami świateł. Przyglądali się barwnym potokom ludzi, które nieprzerwanie płynęły promenadami. I pasami komunikacji obu poziomów.

– Ależ oni napierdalają! Z gotowym planem na wieczór, jutrzejszy dzień, może nawet całe życie! – Robert wołał czuć złość, niż żal. A najlepiej nie czuć wcale. – Ze wszystkim jakoś się godzą prędzej czy później...

Maciek pokiwał głową. Ścisnął mocniej pasek wiszących prawie na nim spodni.

– Rzeka płynie dalej, a ty leżysz w piachu, bo zahaczyłeś o wyrzucone ścierwo – podsumował. – Porwie nas w końcu ten nurt?

– Centralnie! Jakżeby inaczej?! – Robert kopnął kamień na chodniku.

Minerał wpadł z impetem w kałużę, bryzgając wodą na koszulkę chłopaka.

– Wierzysz w to, co się dzieje?! – zawołał po chwili. – Jak on, kurwa mógł?! – wycodził. – Nie bał się, że ona przeżyje i się wyda?! – Nie musiał uściślać, o kogo chodzi.

Maciek współczuł koledze, ale nie potrafił lżyć byłego wychowawcy.

– Nie sądzisz chyba, że liczył na jej śmierć! – odrzekł. – Ale fakt, na twoim miejscu czułbym się jak w jakimś chorym wirtualu...

– Tylko nie gadaj ludziom o tym – zaznaczył Robert.

– Jasne, głupi nie jestem... Co teraz zrobisz?

– Wyjadę jak najdalej stąd. – Robert strzepał niedbale zacieki z błota.

– To jasne, Solland.

– I jeszcze dalej. – Wskazał głową gwiazdy na granatowym niebie.

– To dobrą szkołę wybrałeś...

Robert pomyślał, że istotnie dobrą. Trójoaza, stopiona z przyrodą do granic, spęczniała życiem leśnego robactwa, zaczynała go męczyć. Solland, w którym niedawno zdawał egzaminy, był znacznie bardziej techniczny – naturę reprezentował tam jeden centralny park i sztuczne jezioro w roli bufora dla akumulatorowni. No i morze, któremu ten ląd odebrano, z wałami zamiast plaż. Teren w sam raz na kosmodrom, z mieszkańcami przywykłymi do widomych, technicznie dopiętych startów. Tu zaś ambitniejsza próba technicznego

eksperymentu wywołała dramat w instytucie fizyki, którego skutki likwidowano do dziś.

NIEPOJĘTA NIESPÓJNOŚĆ

Koordinator Folmatho trwał zamyślony w szczytowej komorze stożka. Z zewnątrz dobiegał coraz głośniejszy śpiew dargów – rozbawionych ssaków planety Uldri. Migwały ognistą czerwienią wśród szafirowych o tej porze koron drzew. Za horyzont schodziła pąsowa kula Sorii. *Czy to już nocne zestrzajanie?* – wsłuchał się w dźwięczne, samcze zanęty. *Tak, zamiana słońc...*

Spojrzał na ekran po raz nie wiedzieć już który. Raporty Tragu-eriego! Ileż zamieszania wprowadziły ostatnio w stożku... Folmatho wciąż czuł się niekomfortowo z decyzją odwołania koryfu z Mahabor. *To najrozsądniejsze wyjście!*, usprawiedliwiał sam siebie. *A jeśli Cothley naprawdę potrzebuje pomocy? Niemożliwe!*, próbował wrócić do rozsądku. *Cóż to za planeta, która upadła naszych najlepszych koryferów?!*, nachylił się nad pulpitem i kolejny raz wywołał kopie korespondencji Tragu-eriego:

„Mahabor III to szczególne miejsce. Im dłużej tu jesteśmy, tym więcej w nas zdziwienia, zgrozy, ale i fascynacji. To planeta skrajności, zawrotnych skoków wielu parametrów. Szeroka skala wibracji nawet w obrębie jednego gatunku – od najniższych, u nas prawie niespotykanych, do bardzo wysokich, godnych niekłamanego podziwu. Istoty naczelne mają zdolność wzbudzania wysokich frekwencji w szczególnych warunkach. Jest to na tyle fascynujące, że wywołuje w nas chęć zbliżenia się. Łatwo wywnioskować, że stan, o którym mowa, byłby idealny dla teleprzekazu. Tyle że występuje u nich rzadko i jest niezwykle ulotny – łatwo go odwrócić byle bodźcem. Już rozpoczęcie nadawania wywołuje zazwyczaj kompleks wariacyjny – począwszy od zaskoczenia, nieufności i niewiary w odebrane informacje, na skrajnej panice skończywszy”.

Co on miał na myśli pisząc o tym zbliżeniu?, zastanawiał się koordynator. *Możliwe, że szukam dziury w całym. Przecież to nie pierwszy*

kontakt z inną cywilizacją. Niektóre były wzruszające. Ale tu coś nie gra. Co prawda Trageri zaprzeczył całkowicie sugestii, że chciałby tam pozostać. Czyż można mu jednak wierzyć?, zawstydził się własnych myśli. Co do lojalności jednego z czołowych koryferów ekipy badawczej stożka nie miał nigdy wątpliwości. Ale czy nie wystąpiła jakaś degradacja? Jak rozumieć te skoki vibracji?! *Mało to wszystko przejrzyste,* na powrót pogrążył się w lekturze.

„Nasze badania pokazują, że opisywany stan wysokich frekwencji towarzyszy często relacjom osobników przeciwnej płci, w szczególności procesom bezpośrednio związanym z rozmnażaniem. Ale, jak na ironię, procesom tym towarzyszy wiele specyficznych lęków. Zresztą, uczucie zagrożenia jest tu nagminne, nękające niemal każdą jednostkę w sposób mniej lub bardziej uświadamiany”.

Co za niespójność z tymi lękami?!, Folmatho był zdezorientowany. *Istoty potrafią wzbudzić stany wysokowibracyjne, ale teleprzekaz jest niemożliwy, bo właśnie wtedy reagują lękiem! I co ma do tego rozmnażanie?,* odszukał inny fragment:

„Badane istoty są rozdzielнопłciowe. Wysokie frekwencje stanowią formę komunikacji osobnika żeńskiego z potomstwem, które pierwszy, fundamentalny etap rozwoju, odbywa wewnątrz jego organizmu. Mimo usilnych starań naszemu koryfowi nie udało się powtórzyć takich częstotliwości. Robiliśmy to w związku z hodowlą in vitro zarodka przygotowanego genetycznie. Otóż po początkowym, rewelacyjnym okresie wzrostu zarodek zaczął wykazywać głód omawianych frekwencji. Robiliśmy wszystko, by mu ich dostarczyć, ale mogliśmy tylko wzmocnić nasze własne z górnego krańca skali. Nastąpił wyraźny spadek możliwości adaptacji (a miał je niebagatelne!). Ale rozwój odbywa się dalej pomyślnie, a vibracje własne hybrydy i tak przekraczają przeciętny poziom naturalnych płodów z Mahabor III na tym etapie”.

Czy on musiał posuwać się aż do modyfikacji genów, by coś wskórać na tej planecie? Przecież wie doskonale, jakimi zakazami obwarowana jest inżynieria genetyczna! Kogoś tam powołali do życia, kogoś uśmiercili, Folmatho ściągnął rezonty głosowe z wyrazem strapienia. Znał

Tragueriego od tak dawna! A tu takie wieści! Nie poznawał w nich przyjaciela. Wrócił do przerwanej lektury.

„Obserwacja hybrydy uświadomiła mi po raz kolejny, że integracja naszych stabilnych stanów energetycznych z tą ich wysoką frakcją mogłaby zainicjować coś wzniosłego. Może kolejny krok w przedłużaniu życia? Istotom z Mahabor III już teraz moglibyśmy dać bardzo wiele, gdyby umiały to przyjąć. Przeciętna długość życia jest tu niewiarygodnie mała. Śmierć jest zjawiskiem powszechnym, podobnie jak prokreacja. I same kontrasty! Nienawiść i zazdrość obok wzruszających uniesień i oddania, przywiązanie z towarzyszącym mu lękiem i bólem, bardzo gęste ciała, które tak łatwo uszkodzić!”

To w ogóle nie powinno mieć miejsca!, obruszył się Folmatho. *Będzie szczegółowe śledztwo, jak znam nasz stożek!* Wzniósł się na wysuniętych gwałtownie przedramionach. Czuł się zawiedziony i zde gustowany postawą koryfera. Jednocześnie bardzo mu współczuł.

Nietrudno zgadnąć, co to wszystko znaczy dla kogoś takiego, jak Tragueri, myślał w poruszeniu. Gorąco nawoływał na Zgromadzeniu do poszukiwań Cothleya! Teraz stanie przed tym Zgromadzeniem w innej roli. Folmatho patrzył w zamyśleniu na rozedrgane już odcieniami żółci niebo. Bolidar Tragueriego wyruszył zgodnie z rozkazem, powinien więc dotrzeć jeszcze przed zaćmieniem Cermiro. Nawet przy kompresji czasoprzestrzeni to daleka droga, a w tym powikłanym Ślepym Ramieniu czasu nic nie wstrzyma. Tylko od startu tego statku trzecia planeta układu Mahabor zdążyła już sześciokrotnie okrążyć swoją gwiazdę.

ZIARNINOWANIE

PRZYSPIESZANE ŚWIATŁO

Na tafli olbrzymiego terminalu kolejowego panował zgiełk podróży. Zapowiedzi, sygnały, kakofonia barw i dźwięków. Szum automatów, niezmordowana krzątanina robotów. Wiązki kierunkowych światel wzdłuż ścian i peronów. Ledwie wyczuwalne drgania w podziemnych arteriach tuneli. Dworzec Laurentia zdawał się gigantycznym organizmem, tętniącym własnym życiem.

Robert wracał do Sollandu. Stanął naprzeciw zwrotnicy, kierującej do odpowiedniego składu.

Mogło być gorzej, ocenił długość kolejki. Ustawił się za kobietą z dzieckiem, które robiło miny do lustrzanej kolumny. Zatonął w myślach, wolno posuwając się do przodu. Błądził wzrokiem po przejrzystej tafli podłogi, na której krążyły bezkolizyjne dyski, rozwożące napoje i przekąski.

– Cześć astronauto! – usłyszał nagle za plecami.

– Kamila? – Odwrócił się i przyjrzał bacznie rozmówczyni. – Też na pociąg do Sollandu?

– Nie, nie! Podeszłam, bo cię zobaczyłam. Jestem przejazdem do Double, wiesz, w dawnej Irlandii – wyjaśniła, jakby nie kojarzył. – Pracuję w reklamie, ale za kulisami. – Uśmiechnęła się i uniosła znany mu gestem długie włosy, teraz rozjaśnione. – Za to ty zdążyłeś stać się osobą publiczną. Już po dyplomie?

– I po stażu – uzupełnił.

Zastanawiał się, ile jeszcze wspólnych tematów do rozmowy udałoby im się znaleźć. Nie znał nawet plotek z Trójoazy.

– Widziałam pokazy sprawnościowe z AcAs z tobą w roli głównej! – kontynuowała Kamila. – No i jakiś artykuł w necie..., coś tam uratowałeś, tak? Brawurowa akcja w kosmosie...

– Przesadzili z tą brawurą – przerwał jej zachwyty, czując jakąś nieadekwatność. Jednocześnie dostrzegł, że dziecko kręcące się w koleżce przed nim, obserwuje go teraz z zaciekawieniem.

– No, nie wiem – droczyła się Kamila. – Pamiętam nawet tytuł: „Bohater czy desperat?”. A więc jaka jest prawda, kolego?

– Ani jedno, ani drugie. Po prostu okoliczności – Robert chciał zmienić temat. – To już z sześć lat się nie widzieliśmy, prawda?

– Owszem – zaśmiała się chyba z jakiegoś wspomnienia. – Bardzo się zmieniłam?

– Trochę – przyznał szczerze, obserwując obfite kształty dawnej miss klasowej.

– No tak! – uniosła jego dłoń, wskazując obrączkę. – Dawno się ożeniłeś?

– Przed paroma dniami.

– To wszystkiego najlepszego na nowej drodze! – Życzenia uśmiechniętej Kamili wydawały się szczerze. – Elegancki mundur! – Dotknęła niemnącego materiału „kobaltówki” z sollandziej Akademii Astronautyki. – Ja pamiętam cię tylko w dżinsach i bluzach, nigdy nawet w marynarkach... I włosy miewałeś dłuższe.

– Mamusiu, czy musimy jechać pociągiem? – zapytało zniecierpliwione dziecko przed nimi.

– Przecież wiesz, Wetti, że tatuś dostał pracę w Sollandzie!

– A nie można by... dmuchawcem? – Dziewczynka rozciągnęła w niepewnym uśmiechu ładnie wykrojone usta o nietypowym, lilowym odcieniu.

– Czym? – zapytała matka z niepokojem.

Dziecko nie spieszyło się z odpowiedzią, lustrując teraz wzrokiem mundur Roberta.

– Mówią, że AcAs stwarza nowy gatunek: *homo extended*. – Kamila dotknęła naszywki tego munduru.

– Wszystko da się osiągnąć przez pot, krew i łzy! – Robert przejął na chwilę ton jej egzaltacji. – Jest wycisk, jak nigdzie indziej – dodał już serio. – Ale sam tego chciałem. Poza tym jest wiele miłych stron.

– Za to rzadko bywasz w naszych stronach – dopowiedziała Kamila.

– Byłem tylko raz na pogrzebie ojca – przyznał. – Fakt, pożegnałem Trójoazę na dobre, gdy zacząłem studia.

– Zauważyłam, że wsiąkłes, jak kamień w wodę. Dlaczego?

– Wiesz, niewesołe wypadki poprzedziły mój wyjazd. – Robert chciał już zakończyć temat.

– Tak, to był smutny czas. – Kamila nie dawała za wygraną. – Biedna Kasia, taką ładną parą byliście... I ten instytut, co wybuchł czy tam się spalił. Do dziś nie wiadomo, co było przyczyną. Dochodzenie przejęła centrala i zdechło.

– Zgadza się. – Przypomniawszy sobie pożar, któremu nie poświęcił uwagi. – Tego dnia, kiedy umierała Kaśka, płonął też instytut. Ale nie znam szczegółów...

– Taka głośna historia! – Kamila rozkręcała się wyraźnie. – Chodziły słuchy, że ktoś znalazł w lesie coś podejrzanego i nasi fizycy poddawali to doświadczeniom. Zdmuchnęło pół budynku. Jakiś rwący ogień, czy jak to nazwali? Reakcja piorunująca, może łańcuchowa – przerwała, dostrzegłszy utkwione w sobie, szaroniebieskie, wielkie oczy dziecka.

– A może to był... mokry ogień, czyli... jasne pożeranie? – zapytała zaraz dziewczynka, zadowolona z nawiązanego kontaktu wzrokowego.

Kamila odegrała zdruzgotanie.

– To już małe dzieci wiedzą z fizyki więcej ode mnie! – westchnęła. – Bystra dziewczuszka! – zwróciła się do matki małej.

– A ty nie daj się tak łatwo podpuszczać! – Robert zaśmiał się, wyobraziwszy sobie reakcję profesorskiego grona na taki termin podczas egzaminu dyplomowego z fizyki. – Jasne pożeranie! – powtórzył głośno i puścił oko do dziewczynki, która przyglądała mu się bez cienia wstydu. *Cwaniara w blond kucykach!*, pomyślał.

Matka dziecka, widząc rozbawienie Roberta, zapytała go z niepokojem:

– Ona znowu konfabuluje?

Zanim zdążył odpowiedzieć, dziecko odezwało się ponownie.

– Jasne pożeranie jest na przykład wtedy, gdy... sącące metale podda się przyspieszonemu światłu przy zwiększonym ciśnieniu ośrodka.

– Wetti, dosyć! – matka skarciła pięcio-, najwyżej sześciolletnią dziewczynkę, uśmiechając się przepaszając do Kamili i Roberta. – Psychologowie mówią, że ma bujną fantazję i że z tego wyrośnie.

– Teraz my! – zawołała mała.

Razem z matką podeszła do automatu, który przydzielał ścieżkę zwrotnicy.

– To do zobaczenia! – Kamila podała rękę Robertowi.

– Niechby uruchomili wreszcie tę drugą linię do Sollandu! – jęknął ktoś z tyłu. – Psiamać, tylko tu ta kolejka!

– Pan się odprawia? – zagadnął Roberta mężczyzna stojący za nim. – Bo mnie się spieszy!

– Co...? A, tak, tak! – Robert bezmyślnie wprowadził kartę do automatu, wpatrzony w odchodzącą, jasnowłosą dziewczynkę, którą trzymała za rękę dobrze ubrana mama.

Ta przyciągająca spojrzenia mężczyzn, trzydziestoparoletnia brunetka i jej rezolutna córka przykuły uwagę Roberta odrobinę za późno. Wahał się, czy je gonić. Śledził je wzrokiem dłuższą chwilę, zastanawiając się, czego od nich chce. Gdy już zdecydował się ruszyć, zniknęły w tłumie. *Kim one są?!*, myślał w pomieszaniu. *Może spotkamy się w Sollandzie...? A może to bez znaczenia.*

*I pomknął czas, różny dla ras
A nieczyszczone rany
Zrosły się źle, więc łatwo je
Na powrót rozerwano*

Z poematu „Niewczesne spotkanie”.

Wypisy uldryjskie, autor zbiorowy

POWRÓT ZŁOCZYŃCY

Pierwszy dzień lata na Uldri, zaczynającego się kontrapozycją dwóch słońc tej planety – Cermiro i Sorii – stał się dniem nietypowego poruszenia w Stożku Uraho. Ogólne podniecenie wywołał maleńki punkt na ekranie zbiorczym, który pojawił się ubiegłej nocy i powiększał nieprzerwanie. Nie było w tym nic niezwykłego – przecież rejestrowano tu systematycznie przyloty statków transsystemowych, a co jakiś czas pojawiał się nawet któryś z transgalaktyków. Jednak od chwili gdy ten bolidar podał swoje parametry, całą starszyznę stożka postawiono w stan gotowości, a pierwszorzędowe szlaki łączności rozedrgały się wiadomością: „Tragueri wraca!”.

Folmatho doznał w związku z tym wielu sprzecznych uczuć. Początkowe zadowolenie z subordynacji koryfera oraz niewątpliwą ciekawość przyćmiło widmo zbliżających się kłopotów. Jak potraktować teraz ten koryf? Jak ich przyjąć? Rozsądek nakazywał kwarantannę i ścisłą izolację, ale czy godzi się traktować przyjaciela jak... zwierzętą przywożone z sąsiednich planet? I czy to jeszcze przyjaciel?

To ostatnie pytanie zadawało sobie teraz w takiej czy innej formie wielu Uldryjczyków. Przecież on zabił! Słowo to, wymieniane na dziesiątki eufemizmów, krążyło w obrębie Stożka Uraho niczym złowrobnny owad. Zawierało nie tylko niewyobrażalną tragedię nieznanego istoty (chodziły słuchy, że nie jednej!), nie tylko wielkie oburzenie wobec Tragueriego, lecz także mroczny lęk. Dla ambitnych mieszkańców planety autoanaliza nie stanowiła trudności. Nie na

darmo od dawien dawna ćwiczeni byli w sondowaniu własnych lęków i miejsc chwiejności wibracji oraz w pracy z nimi. Toteż bez wątpienia rodziły stożek sprawy zamętu zostanie zasypyany pytaniami, przewiercony sondażami. Nie da się przejść łatwo nad tematem śmierci!

Już w poprzedniej epoce dumni Uldryjczycy rzucili jej wyzwanie. Mimo, że niemal od zawsze przeciętna długość aktywnego życia mieszkańca tego globu znacznie przewyższała średnie innych znanych cywilizacji, w ciągu ostatnich kilku tysięcy monakt śmierć stała się tu zjawiskiem niezwykle rzadkim. Poszukiwano wytrwale dróg uwolnienia się od niej na zawsze.

Szybko rozwijające się metody pracy z osobowością podnosiły bezpieczeństwo indywidualne. W przestrzeń kosmiczną wysyłano koryferów – dowódców i liderów kilkusobowych załóg – by sprawdzać jego poziom w obcych warunkach. Powracali cali i zdrowi, nawiązując współpracę z mieszkańcami innych światów. Rósł mit o niezniszczalności Uldryjczyków, a oni sami żegnali swoich nielicznych zmarłych słowami: „Za późno zaczął pozbywać się śmiertelnych wibracji”.

Koryferów zaś wybierano starannie. Wielokrotnie testowano spektrum ich frekwencji, poddawano próbnym sytuacjom zagrożeń. Musieli być wzorcowi, by ruszać w nieznane, prowadząc grupy słabszych energetycznie podwładnych. Stąd więc Tragueri, czy raczej to, co go spotkało, wywołało rodzaj szoku.

Statek podchodził już do lądowania, a Folmatho wciąż walczył z rozdartym sumieniem. W końcu posłał na lądowisko ekipę klonów z odpornej serii. Nie mógł ryzykować.

Czym ryzykować?, odezwał się gdzieś z głębi przekorny głos. *Czyż nie jesteśmy niezniszczalni?*

Wiedział doskonale, że oto ujawnił się stary lęk przed przejęciem wibracji. Sądził, że ma go za sobą. Ale to, co dotknęło Tragueriego, a być może i Cothleya... Czuł się odpowiedzialny za losy stożka. Ostrożność przecież nie zawadzi. Skoncentrował wzrok na kilku płytkach konsoli, przesyłając polecenia. Decyzja odosobnienia do czasu procesu przed Zgromadzeniem. To wystarczyło, by poczuć się

podle. I namacalnie doświadczyć własnej słabości – pierwszy raz od tak dawna.

W chwili pełnego napięcia oczekiwania na otwarcie wjazdu Folmatho sprawdził jeszcze raz łączność z lądowiskiem. Wiedział, że podobne napięcie odczuwają masy Uldryczyków w strefach projekcji... *Wreszcie są!*, właz bolidaru odskoczył, a pod trap podsunęła się wysłana platforma transportowa. *Wychodzą!*

Kilka serdecznych słów powitania i przeprosiny za odosobnienie ze zrozumiałych względów. Folmatho słyszał nienaturalny tembr swojego głosu. Wpatrywał się uporczywie w Trageriego i jego towarzyszy. Nie, nie wyglądali żałośnie! Swobodnie wychodzili na platformę. Zstępowali na rodzimą planetę bez silnych wzruszeń. Niepokojąco poważni. Raczej smutni niż zdruzgotani.

Trageri odpowiedział na słowa koordynatora czymś w rodzaju: „Nie ma problemu, trudno się dziwić”. I to było wszystko. Żadnych pozdrowień, przeprosin, tłumaczeń czy odezw do społeczności, choć z pewnością zdawał sobie sprawę, u jak wielu bliskich jest na wizji. Jakby zupełnie obojętne mu było wrażenie, jakie robi. Dawniej lubił przecież szumne powitania, efektowne pożegnania... Czyżby załamanie, abnegacja? Nie, to nie to... Folmatho wykonał zbliżenie twarzy Trageriego. Niby ta sama, ale z jakimś nowym wyrazem. Koordynator starał się dociec w czym rzecz. *Postarzał się? Nie, zdecydowanie nie to!..* To nieuchwytnie „coś” płynęło także od pozostałych. Analizując owe nabyte vibracje, Folmatho stwierdził z ulgą, że wśród wielu odczuć łowi głębokie, odległe bezpieczeństwo. Nieco płyciej – przygniatającą gorycz i niepokój. Przez to wszystko przyjdzie im przebrnąć i to niebawem.

Transportowi koryfu przyroda asystowała ciszą. Lecz mało kto dał się zwieść takiej ciszy. Zbyt była głucha, zbyt ciężka i nabrzmiała. Kawazy zamilkły nagle, choć był to okres tokowania, błyszczące chmury lotnych owadów zniknęły gdzieś wraz z towarzyszącymi im światłotryskami. Listne nitki płatowców falowały nisko, tuż nad ziemią, tworząc zbite, brunatniejące kobierce. Nawet poridry pełzały na brzuchach, jakby nie miały siły się poderwać, a obrączki okółii

zaczisnęły się z braku zielonego światła, osłaniając szczelnie pomarańczowe jagody. Soria zachodziła dziś ciemnofioletowo!

Uldryjczycy wypadali gromadnie i prosto w eter przez wyloty ścian stożka, chcąc obejrzeć to rzadkie zjawisko. Ze zdumieniem przyglądali się własnym, zmienionym poświatom oraz fiołkowym cieniom na ziemi. Nie byli jednak rozmowni – wiedzieli, że takie zjawiska mogą zwiastować burzę.

ZOSTAĆ ASTRONAUTĄ

Dziedziniec pokaźnego gmachu II Liceum kompleksu Kordelii Poitrat w Sollandzie znów zakipiał gwarem. Dziesiątki opalonych, rozkrzyczanych nastolatków wniosły tu ostatni powiew wakacyjnej wolności. Przybyli, by rozpocząć rok szkolny. Póki co witali się żywo z kolegami, wymieniali świeżo nabyte doświadczenia, prezentowali nowe stroje i fryzury. A przede wszystkim narzekali głośno, że znowu się zacznie!

Ciekawscy pierwszoklasiści uganiali się po alejkach oranżerii, po ścieżkach między doświadczalnymi szklarniami i budynkami kompleksu kultury fizycznej. Niektórzy, prezentując powagę, stali dumnie wyprostowani w odświętnych ubraniach, prowadząc mniej lub bardziej naukowe dyskusje.

Dziewczęta gromadziły się na ławach, ustawionych wzdłuż „ścieżki zdrowia”. Nazwano tak zespół sprzętów gimnastycznych, umieszczony obecnie w parku szkolnym.

– Tu będzie dziś test dla tych odlecianych w kosmos! – szeptało, patrząc z niepokojem na skrzynie, kozły, drążki, liny, ścieżki z materacy.

Egzamin do Zespołu Eksperymentalnego! Chodziły słuchy, że będzie trudny. Nic dziwnego – miał zredukować liczbę osiemnastu chętnych do planowanej trzydziestki. Podniecenie części pierwszoklasistów udzielało się pozostałym. Nawet dyrektor wydawał się podekscytowany, gdy stojąc na podium w towarzystwie człowieka w mundurze AcAs, mówił o pomysle powołania eksperymentalnej klasy.